Dmytro Pawłyczko

Tajemnica twojej twarzy

Wydawnictwo Lubelskie

Tajemnica twojej twarzy

Tytuły oryginałów ukraińskich.

Lubow i nenawyst'
Spiral

Dmytro Pawłyczko

Tajemnica twojej twarzy

Przełożył
i wstępem opatrzył
Bohdan ZADURA

Wydawnictwo Lubelskie

Opracowanie graficzne
MIROSŁAW ZDRODOWSKI-ZDROZDOWSKI

Redaktor
JADWIGA BIAŁOWĄS

Redaktor techniczny
TOMASZ BIELSKI

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie
Lublin 1989

ISBN 83-222-0556-2

WSTĘP

Dmytro Pawłyczko nie jest postacią nie znaną polskim czytelnikom poezji. Tłumaczyli go Tadeusz Chróścielewski, Jan Czopik, Józef Lenart, Leopold Lewin, Jerzy Litwiniuk, Olga Petyk, Jerzy Pleśniarowicz, Florian Nieuważny... Wiersze Pawłyczki pojawiły się w prasie literackiej, 16 jego utworów pomieszczono w *Antologii poezji ukraińskiej* Floriana Nieuważnego i Jerzego Pleśniarowicza, wydanej przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą (Warszawa, 1976), w roku 1980 wreszcie Państwowy Instytut Wydawniczy opublikował pierwszy po polsku indywidualny tom Pawłyczki w wyborze i ze wstępem Floriana Nieuważnego, zatytułowany *Istota rzeczy*. Zawierał on 32 wiersze, w znacznej części będące przypomnieniem utworów zamieszczonych we wspomnianej antologii.

Wybór niniejszy — najobszerniejsza z dotychczasowych prezentacja kijowskiego poety — jest, jeśli można tak powiedzieć, wyborem z wyboru, jaki Wydawnictwu Lubelskiemu zasugerował sam autor. Znalazły się więc w nim wiersze mające jego błogosławieństwo. O tym, że nie wszystkie, zadecydowała i objętość tomu (i tak jest ich ponad półtorej setki), i gust tłumacza, i wreszcie — nie widzę powodu, by to ukrywać — nazbyt wysoki współczynnik trudności przekładowych, by wymienić tytułem przykładu *Rubajaty*.

Jeśli nawet można zakwestionować bezwzględną

prawdziwość tezy, że Dmytro Pawłyczko znany jest w Polsce (*Istota rzeczy* wyszła w nakładzie 1000 egzemplarzy, w czasie gdy zaprzątały nas sprawy ważniejsze niż poezja i jeśli mnie pamięć nie myli, nie wywołała szerszego odzewu), nie ulega kwestii, że to nie ja odkryłem tego poetę. Co więcej, pozbawiony radości odkrywcy — a to jedna z większych satysfakcji tłumacza — czuję się trochę jak intruz wkraczający na nieznane i cudze terytorium. Bez dokumentów podróży, bez planu, bez mapy nawet. Przełóżmy to na język konkretów: nigdy nie byłem ani znawcą, ani miłośnikiem poezji ukraińskiej. W przeciwieństwie do Artura Sandauera — postawmy tę kropkę nad i — nie jestem poliglotą i nie zamierzam udawać, że jest inaczej. Pierwszy tekst po ukraińsku, który przeczytałem, to były wiersze Pawłyczki, jakie miałem tłumaczyć. Propozycję Wydawcy uznałem w pierwszej chwili za żart, była to jednak propozycja serio. Miałem zobaczyć, spróbować... Nazwisko coś jakby mi mówiło, jakiś numer „Współczesności" z wierszem o Gogolu tańczącym w Rzymie? Potem przypomniałem sobie, że w 1977 roku zetknąłem się chyba z Pawłyczką podczas Budapeszteńskich Spotkań Poetów poświęconych Endre Adyemu. W jednym z tomików znalazłem wiersz, który to potwierdził. To przesądziło. Zaopatrzywszy się w słowniki (ukraińsko-rosyjski i rosyjsko-polski) zabrałem się do pracy, nie wolny od chwil zwątpienia, czy to, co robię, ma sens (czas biegł, inflacja rosła) i czy mam prawo bawić się w te nie swoje klocki.

Kiedy dobrnąłem do końca, dotarłem do już istniejących przekładów i pozbyłem się kompleksów.

W *Tajemnicy twojej twarzy* znajdą Państwo 17 wierszy znanych z PIW-owskiej *Istoty rzeczy*. Zresztą nie jestem pewny tej liczby. Nie wiem, czy otwierający

tamten tom wiersz *Chleb* i wiersz *Chleb*, zamieszczony w niniejszym wyborze, są przekładami tego samego utworu. Oto przekład z *Istoty rzeczy*:

Nie ma takiego chleba na ziemi,
Jak ten, przez moją matkę wypiekany
Na liściu grochowym w tamtym piecu
Głębokim jak tunel koło Jaremcza.

Jak niebo gwiazdami — chleb matczyny
Obsypany był ziarnkami kminku.
Wołał i wabił mnie z daleka
W dzień święta zapachów w naszej chacie.

Nie pachnie mi *bread*, ni *Brot*, ni *pain*,
Bogactwo mnie nie czeka, bo me życie
Zmieściło się w małym słowie chleb.

Żyje w nim matka, dawno zmarła,
Szumi groch, co deszczowego lata
Usechł, opodatkowany, z udręki.

Jest to wersja niemal identyczna z opublikowaną wcześniej w *Antologii...* — różni się jedną linijką, która tam brzmiała następująco: „Nie pachnie mi bred, ni Brot, ni pan", przy czym żadne ze słów nie było wykursywowane. Kiedy przeczytałem ten przekład, poczułem się nieswojo i z trwogą sięgnąłem po własne tłumaczenie. Pierwsze dwie strofy były dość podobne, choć zamiast liścia grochowego znalazłem u siebie liść orzecha. Dalej było już gorzej:

Nie do pojęcia, jak się pomieściło
Me całe życie w małym słowie: chleb,
Świat cały — w ziarnie pachnącego kminku.

Żyje w nim matka, co dawno umarła,
A orzech, który z żalu po niej usechł,
Wciąż mi w tym słowie szeleści, szeleści.

Występujący w oryginale „gorih" mógł się skojarzyć z grochem, tego typu pomyłki zdarzają się tłumaczom, skąd jednak te wszystkie pozostałe rozbieżności w tercynach? Ten chleb w trzech językach, to bogactwo, które nie czeka? Dlaczego groch usechł podczas deszczowego lata, z jakiej udręki? Kto go opodatkował i za co? Czyżby „Ja nie zbagnu nikoły" zostało przeczytane jako „Nigdy się nie wzbogacę" i stąd owo „Bogactwo mnie nie czeka"? Cokolwiek powiedzieć, przekład wyszedł spod pióra tłumacza z nazwiskiem i z zasługami. Jeśli w przekładzie innego poety czytam, że fałszywi prorocy skazali na stos miliony skrzydeł nie doczekawszy objawów miłości, to robi mi się cokolwiek dziwnie, ale może dziwić się nie powinienem, skoro wcześniej, cytuję, „Chciało się pastuchowi usłyszeć głos Boga w płonącym krzaku". Jak tu wytłumaczyć, że dwa słowa koło siebie stać mogą, a dwa inne nie? Czy miłość jest chorobą, żeby czekać na jej objawy? Że choć można powiedzieć, iż miłość objawiała się w czymś tam, to objawy miłości są nie do pomyślenia poza sytuacją, w której chce się jakiś język parodiować? Że można się doczekać na dowód miłości albo na znak miłości? No, dobrze, ktoś powie, przecież i tak wiadomo, o co chodzi, to są niuanse. Tylko że właśnie na niuansach wznoszą się światy poetyckiego słowa.

Jeśli u innego doświadczonego i zasłużonego tłumacza czytam:

> **Nie zbraknie desek, żeby miarę wziąć**
> **Na trumnę, tak jak niegdyś na kołyskę.**

to podejrzewam, że istota rzeczy gdzieś tu została wywrócona na opak. Tych desek ma wystarczyć nie na wzięcie miary, ale na samą trumnę. Któż mierzy deskami, ile tych desek potrzeba, żeby wziąć miarę? Da-

lej owa pierwsza strofa wiersza *Istota rzeczy* toczy się tak:

> Kołyska moja służy innym ludziom,
> A trumna — to już osobisty sprzęt.

Trumna — to już osobisty sprzęt! Po takiej rewelacji czym jest stwierdzenie kolejnego zasłużonego translatora:

> Więc wdzieram się w morze zielone
> Z balastem butów i odzieży

który w ten sposób oddaje „Ja zahodżu w zielienie morie w czeriewykach i w odieżyni", czym są „nóżki bociana", czy jest sens zastanawiać się, kto by powiedział — w takim wierszu jak *Bociany* właśnie

> A podmuchy skrzydeł bocianich
> Mrozem zwarzyły me oblicze...

Być może, gdybym zaczął od lektury istniejących przekładów, nie przyjąłbym oferty Wydawcy, na nic zdałby się urok Redaktorek, wspomnienie z Budapesztu i pamięć o raz jeden widzianym błękicie ukraińskiego nieba. Pewnie nie tłumaczyłbym Dmytra Pawłyczki.

Cokolwiek można powiedzieć o jego poezji, nie sposób zarzucić jego wierszom, że są hermetyczne, niezrozumiałe. Można je lubić bardziej lub mniej, ale najdalej nawet posunięta rezerwa nie wynika z faktu, że nie wiadomo, o czym te wiersze traktują. Ich szlachetna, humanistyczna wymowa jest tak niepodważalna, że na dobrą sprawę obyć się mogą bez komentarza. Wydaje mi się, że nie potrzebują pośredników, a polskiemu czytelnikowi mogą się nawet wydać cokolwiek za jasne, za staroświeckie. To, co czułem tłumacząc je, było przeświadczeniem, że trudności, jakie sprawiają, są trudnościami technicznej, warsztatowej natury. Owa

„staroświeckość" to jedna strona medalu. W *Stareńkim rymie*, wierszu otwierającym znakomity, moim zdaniem, nowoczesny w sposobie mówienia wprost, oszczędny, niemal ascetyczny cykl *Białe sonety*, pisze Pawłyczko:

> Stareńki rym do parkanu wiersza
> Przybity, niby sztacheta zgniła
> Zajmuje miejsce.

Wspomniałem, że nie mam kompleksów wobec dotychczasowych przekładów Pawłyczki na język polski. Nie znaczy to, że jestem w pełni zadowolony z własnych. Zapewne, zdarzają się w nich owe „stareńkie rymy", być może tu i ówdzie, kiedy przesunie się po nich obojętnym wzrokiem, widać, że nie wszystko gra.

Poezja Dmytra Pawłyczki jest stopem dość szczególnym. Nie trzeba znać historii poezji ukraińskiej, by odczuć, jak mocno zakorzeniona jest w narodowej tradycji, jak silne są w niej pierwiastki ludowe. Związki to i ze świadomego wyboru (co widać w przywoływaniu imienia Szewczenki, jak choćby w wierszu zaczynającym się od słów „Kiedy się zacznę spowiadać":

> Stoję przewody trzymając
> I może aż od Tarasa
> Biegnie to światło maja,
> Ta radość, co nie wygasa)

i naturalne niejako, zdeterminowane przez chłopski rodowód Pawłyczki (pejzaż, realia, stosunek do przyrody, symbolika ziarna chociażby). Być może w owej genealogii tkwi źródło specyficznej odwagi tego poety, którą nazwałbym odwagą naiwności. Świat natury, znany poecie z autopsji — i to się w jego wierszach czuje — to jedna tylko strona jego poetyckiego

gospodarstwa. Jeśli we wstępie do kijowskiego wyboru wierszy Pawłyczki zatytułowanego *Lubow i nenawyst'* Mykoła Ilnyćkyj pisze o związkach poezji Pawłyczki z poezją światową, o przyswajaniu sobie przez nią w sposób organiczny jej zdobyczy, wesprzyjmy ten ogólny sąd paroma skojarzeniami. Otóż odnoszę wrażenie, że na kształcie niektórych erotyków zaważyła lektura wspomnianego już Endre Adyego, w niektórych lirykach czuję współbrzmienie z Kawafisem (to pokrewieństwo dykcji odczuwam na przykład w *Linijce wiersza*), pewien rodzaj wrażliwości pozwala na porównywanie wierszy z cyklu *Dzieciństwo* z wierszami Tadeusza Nowaka, a *Białe sonety* mogłyby skłaniać do pewnych porównań z poezją Tadeusza Różewicza...

Pawłyczko kocha przeciwstawne pojęcia, kocha kontrasty, kocha opozycje. Widać to w tytułach jego tomów takich jak *Miłość i nienawiść*, *Płatki i ostrza*, widać to w poszczególnych wierszach, gdzie par przeciwstawnych pojęć pojawia się bardzo wiele — życie i śmierć, prawda i kłamstwo, szlachetność i podłość, chwila i wieczność, wolność i zniewolenie, odwaga i tchórzostwo, przeszłość i teraźniejszość, starość i młodość...

Nie jest poetą jednego genre'u — znaleźć u niego można i wiersze publicystyczne, i takie, które są poetyckimi traktatami filozoficznymi; bywa, że jedno z drugim się łączy. Czasami sięga ta poezja rejonów metafizyki, jak w utworze *To nieprawda, że umrzeć mamy!* czy w pełnej ekspresji ostatniej strofie dość banalnie, zdawałoby się, zaczynającego się wiersza *Przytulę się do ciebie*

Poczujesz w moim ciele
Poza szumem świerku i ruty
To, co nigdy próchnem nie było
I nie może się w próchno obrócić!

Podobnie dużą różnorodnością odznaczają się formy wiersza, których używa Pawłyczko — od klasycznego sonetu (sonet jest mu, jak się zdaje, szczególnie bliski — wydał wszak antologię sonetu światowego) po wiersz wolny. „Prawda życia jest istotą poezji" — formuła to na tyle pojemna, by zmieściły się w niej i apele o pokój, i wiersze poruszające kwestie społeczne, i żarty liryczne, i poetyckie reportaże z podróży.

Podnosząc znaczenie *Miłości i nienawiści*, debiutu książkowego Pawłyczki, pisze ukraiński krytyk, że tom ten odkrył dla poezji nowy temat — życie ludzi pracy na ziemiach Zachodniej Ukrainy, ukazując go nie na poziomie abstrakcyjnej i deklaratywnej retoryki, a w wymiarze konkretnego ludzkiego losu. Bohaterem lirycznym uczynił Pawłyczko samego siebie, poprzez siebie przedstawiając swą rodzinną wieś. „Czytelnik od razu uwierzył w tego bohatera, uznał go za cząstkę doli całego narodu."

Referuję tę opinię nie dlatego, iżbym uważał kategorie użyte w wywodzie krytyka za szczególnie płodne przy pisaniu o wierszach. Jakkolwiek przekonany jestem, że dla polskiego czytelnika poezji stwierdzenie, że ktoś odkrył temat życia ludu pracującego na jakimś obszarze, jest dość wątpliwą rekomendacją i trudno z tego powodu się podniecić, podzielam sąd o wiarygodności bohatera wierszy Pawłyczki.

Pisze Pawłyczko o tym, co zna z autopsji, pisze o sobie. Pisze o sobie, kiedy opowiada o chłopcu prowadzącym na sznurku cielę do jatki, pisze o sobie, kiedy opowiada o czereśni, matce wiejskiej dzieciarni i jest równie przekonujący, kiedy stwierdza:

Niemało pochowałem słów. Zabili
Je obłudnicy. Potem grafomani
Gwałcili martwe.

Świat dzieciństwa stale jest obecny w jego wierszach jako punkt odniesienia; zasady życiowe i moralne wyniesione z rodzinnego domu stanowią wzorzec, wobec którego określa się bohater liryczny:

Do matki często we wspomnieniach wracam
[...]
Nie bałem się tych spracowanych dłoni,
Lecz teraz z lękiem myślę, czy przypadkiem
Nie zawiniłem kiedyś tym rękom matczynym?

I czuję w skroni to najdroższe tętno,
W nim błyskawica mojego sumienia,
Która rozświetla mrok i ciemność duszy.

W świecie dzieciństwa biją źródła wrażliwości na krzywdę, niesprawiedliwość, fałsz, dwulicowość. Tam ma swój początek bunt, który podyktuje mu takie choćby słowa:

„Nam nic nie trzeba, wszystko dla tych,
Co po nas przyjdą pod te wieczne zorze.
Za nas powinni oni piękniej żyć,
Niechaj łzy nasze płyną ku ich słońcu!"

Tak bezustannie mówi faryzeusz,
A ja doń krzyczę: milcz, stary szachraju,
Przecież za ciebie nikt już żyć nie będzie,
Przyszłości twoje niepotrzebne łzy!

Tam biją źródła niepokoju moralnego, który można by inaczej nazwać stanem gotowości czy czujności sumienia, pytającego — między innymi — o godność poetyckiego słowa. (Ten motyw można śledzić poczynając od pogodnego, lekko autoironicznego porównania

Tak mój dziadziuś przywyka do śmierci
Jak poeta przywyka do sławy

z wiersza *** (*Pośród uli na ziemi gołej...*) poprzez dramatyczne *Skrzydła* aż po crescendo *Głosu:*

> Obłudny wiersz w pozłacanym gardle
> Swojego twórcy dźwięczy jak dzwon prawdy.
> Lękliwa nuta — rozbrzmiewa odwagą,
> Bezsilność — gromem grzmi zemsty i kary.

Świat dzieciństwa to również skarbnica niezwykle intensywnych wrażeń, zmysłowego odbierania rzeczywistości w całej jej — chciałoby się sparafrazować Stachurę — jaskrawej urodzie. Pejzaże zapamiętane z dzieciństwa i młodości powracają w wielu wierszach Pawłyczki, motywy karpackie — jak ten stóg siana z *Wierszy z Paryża*, jak krzak czeremchy rosnącej na skalnym urwisku — są symbolem minionego szczęścia. Ale krajobrazy żyjące w pamięci to nie tylko symbole utraconej Arkadii — jak mało która poezja Pawłyczki oddycha rytmami przyrody, z niej wyprowadzając swą trudną mądrość, w niej szukając rozstrzygnięcia podstawowych problemów egzystencjalnych.

Jeśli, jak wspominałem, Pawłyczko kocha przeciwieństwa, nie powinno dziwić, że sam wymyka się jednoznacznej charakterystyce. O ile więc jest poetą natury, poetą ojczyzny najmniejszej, to jest jednocześnie poetą, w którego twórczości bardzo istotną rolę odgrywają odwołania kultowe; zakorzenieniu w kulturze ludowej towarzyszy zadomowienie w kulturze „wysokiej", zmysłowość idzie w parze z intlektualizmem.

Przekonałem się do tej poezji dość szybko. Jednym z wierszy Pawłyczki, które wzbudziły we mnie szczególny rezonans, były *Świerki*, zbyt długie, aby je przytaczać. Chciałbym jednak zacytować inny z najbliższych mi liryków, a że erotyki dominują w tym tomie — dość reprezentatywny dla tego wyboru:

Rozplotły się, rozsypały, rozpadły
Jak warkocze wrześniowe dni.
Jeszcze kąpać się z tobą chciałbym,
A już jesień pod oknem brzmi.

Rzeka wzięła dobre gwiazdy, które
Całe lato spadały w głębinę,
Z ptakami na białej górze
Próbujemy gorzką jarzębinę.

Może by nam polecieć jak one,
Za latami młodości w wir runąć.
Czyżby nasze skrzydła pozłocone
Nie umiały ich śladem pofrunąć?

Ja ci zimowe dni srebrem tkane
W warkocz siwy splotę jak włosy;
Tylko gwiazdy, w szczęściu wykąpanej,
Nie odnajdę, z morza nie przyniosę.

Osobną sprawą, o której nie można nie wspomnieć, pisząc o Pawłyczce, są jego związki serdeczne z kulturą polską. Był i jest propagatorem polskiej poezji, tłumaczył między innymi Mickiewicza, Słowackiego i Norwida, Staffa, Tuwima, Broniewskiego oraz wielu poetów współczesnych. W tomie, który trzymają Państwo w rękach, ślady tych fascynacji, o których we wstępie do *Istoty rzeczy* Florian Nieuważny pisał jako o „wierności i rozkochaniu w poezji polskiej", są obecne, choć nie przesadnie wyeksponowane. W jednym z sonetów *Szlifierza słów*, poematu będącego hołdem złożonym pamięci Maksyma Rylskiego, a równocześnie próbą określenia własnej roli jako poety, czytamy:

Znów — w jego życiu — ich serca cierpiały,
Raz jeszcze przeszli przez wygnania czyściec,
A on ich wierszy krawędzie najczystsze
Na ukraińskie zamienił kryształy.

Na jedną chwilę w ten lipcowy ranek
Pozostawili swoje piedestały,

Gdy w honorowej warcie przy nim stali
I drżały plecy ich łkaniem wstrząsane.

Wraz z nimi przez tę granicę on przejdzie,
Gdzie nikt o paszport ni o cło nie pyta,
Prawdę puszczają, a kłamstwo nie wejdzie...

Świeci narodom ponad ciemnościami
Gwiazda Maksyma Rylskiego obmyta
I Mickiewicza, i Puszkina łzami.

Inny wiersz nosi tytuł *Jarosław Iwaszkiewicz*. Tytuł mówi sam za siebie, ale czuję się w obowiązku temu właśnie utworowi poświęcić parę słów komentarza. Wydaje mi się, że po polsku brzmi on trochę dziwnie. Odwykliśmy od takiej poetyki i pewnie Jarosław Iwaszkiewicz by się uśmiechnął, gdyby mógł przeczytać o sobie:

Narody trzy po nim płaczą, a ludzkość będzie świętować
Ten dzień, kiedy matka wydała go na świat.

Mając na uwadze ów nieprzyswajalny dla nas retoryczny patos czy patetyczną retorykę, zastanawiałem się, czy ten wiersz włączyć do tomu. Doszedłem jednak do wniosku, że są w nim rzeczy tak wielkiej urody, metafory tak pełne ekspresji i zarazem tak prawdziwe, bo jednocześnie dosłowne:

Jarosław umarł. Z bólu na ukraińskiej ziemi
Ojciec się wzdrygnął — osierocony, zrozpaczony proch.

rzeczy tak piękne, jak owa nieopłakana polska miłość, którą okrywa ciemny żal, jak to spostrzeżenie o autorze *Plejad* (którego Pawłyczko i tłumaczył, i znał) „Był smutny, jakby kochał umierać", że pozostawienie tego utworu poza wyborem byłoby i małodusznością, i błędem. Choć od Kalnika, w którym przyszedł na świat Iwaszkiewicz, do Stopczatowa dość daleko, to jednak

na tyle blisko, aby okrzyk „Tato, on żyje!" przekonujący był nie tylko w ramach pewnej konwencji, a znajdował wykładnię bardzo konkretną.

Dmytro Pawłyczko urodził się w Stopczatowie na Huculszczyźnie w roku 1929. Wieś ta znajdowała się wówczas w województwie stanisławowskim, obecnie obwód Iwano-Frankowski. Chodził do polskiej szkoły powszechnej. W roku 1948 ukończył szkołę średnią, po czym studiował filologię na Uniwersytecie Lwowskim. Pierwsze utwory zaczął publikować w roku 1951. Odbywając studia aspiranckie pracował równocześnie w redakcji miesięcznika „Żowteń".

Cytowany już Mykoła Ilnyćkij nazywa Pawłyczkę żywym ogniwem między takimi twórcami ukraińskiej poezji jak Paweł Tyczyna i Maksym Rylski a pokoleniami, które wkraczały do literatury ukraińskiej w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a także obecnie i podkreśla ogromny wpływ jego twórczości na kształtowanie się poziomu i charakteru tej literatury, wpływ twórczości poetyckiej, lecz i krytycznej, translatorskiej; również jako redaktor (przez wiele lat kierował wychodzącym w Kijowie miesięcznikiem „Wseswit") odcisnął Pawłyczko swe piętno na życiu literackim.

W roku 1989 autor *Białych sonetów* obchodzić będzie swe sześćdziesiąte urodziny. Obce jest mi myślenie o poezji w kategoriach rocznicowych, gdyby jednak *Tajemnica twojej* twarzy zdążyła ukazać się na czas, byłby to sympatyczny zbieg okoliczności.

BOHDAN ZADURA

z cyklu

DZIECIŃSTWO

* * *

Przyszedł kupiec z czerwonymi oczami,
Na podwórzu coś mówił do taty,
Potem sakiewkę wyciągnął z groszami
I za moje dzieciństwo zapłacił.

Nową koszulę na siebie włożyłem
I ocierając w rękaw łzy ukradkiem,
Na sznurku smutne cielę prowadziłem
Za starym kupcem do czarnej jatki.

I krew ściekała ze słońca jak z noża
Tam, gdzie za lasem kończy się już ziemia.
Myślałem, co ja, co ja powiem, Boże,
Kiedy mnie krowa zapyta, gdzie cielak.

Do chaty sznurek przyniosłem, na łóżko
Bez słowa padłem i przez sen swej matki
Obecność czułem, słyszałem, jak smutno
Wzdycha, złotówkę dzieląc na podatki.

Jak wiatr na poddaszu potem szeptem
Za dusze stworzeń wszystkich się modliła
I oczyściłem się, jak gdyby we śnie
W siwym szeleście modlitw mnie obmyła.

Do dzisiaj — tylko sen sklei powieki,
Słyszę ten matki cichy nocny lament

I biegnę pośród ojca niw dalekich,
Gdzie krwią słoneczną trawy pochlapane.

1965

* * *

Kiedy robi się ciemno, siadamy
W naszej chacie dokoła kaganka.
Niby kotka mruczy w rękach mamy
Wrzeciono do białego ranka.

Jak mosiężny toporek opryszka
Młodzik wisi wysoko na gruszy.
Z dźwiękiem siekier, motyk, w szabel błyskach
Pierwsza książka przenika do duszy.

Powstańcze zorze niby maki
Nad Karpatami zakwitają.
A w naszej chacie hajdamacy
W jedwabie stopy owijają.

Żupany z pleców pańskich zdarte
Przymierzają. A konie ciekawe
Spoglądają przez okna otwarte
Jak na dzieci wesołą zabawę.

I słychać mej ziemi płacz straszny,
W pałaszach błękitnie gniew świeci,
I Gonta na płaszczu własnym
Zarżnięte niesie swe dzieci.

I córka popa dobrą dłonią
Jaremę z dzbana wodą poi.
Jak los nieporuszeni stoją
Tarasa przodkowie i moi.

I smutna piosenka się ścieli,
Bolesna jak w stopie cierń...
I snuje się nitka kądzieli,
I błyszczy w maminej łzie.

1965

* * *

W naszym ogrodzie rodzą się kamienie,
Jak zęby z ziemi wyrastają dziąseł.
Wyrywam z trudem ich ostre korzenie
I je w koszyku na ulicę niosę.

Wciąż noszę — cienkie ręce aż pękają,
I wiem, że wiosną za rok skiba znowu
Wyszczerzy się, kamienne zęby obnażając
I będę musiał zbierać je na nowo.

Zbieraj — tak ojciec mówił mi — w pokorze,
A pólko ci się odwdzięczy po stokroć.
Matka mówiła, że to martwe zorze
Z nieba spadają na nasz ogród.

Twarde mam ręce od mozołu teraz.
Do końca życia ten los mi sądzony —
Z dusz poranionych wciąż kamienie zbierać,
Na taczkach wozić w zapomnienia doły.

1965

* * *

Pod wierzbami, co rosną na błoniu,
W okólniku pieni się pokrzywa.
Pochylają tam głowy konie
Niby kumple nad kuflem piwa.

O przewagach opowiadają,
O czaprakach i siodłach złotych
I na ogrody spoglądają,
Gdzie ich młodość zblakła, a potem

Na wikliny patrzą i zagony,
Na miedze i pola zorane
I łza w oczach zmęczonych ich płonie
Bursztynowym słońca pożarem.

I:a się tylko strzemiona śniły
Jak te tęcze ponad chatami.
Długie grzywy jak sztandar zgniły,
Zbutwiały pod chomątami.

Pachnie miodunka, ruta, mięta
I mieni się słońce od mdłości,
A wymoczone w rosie pęta
W nogi wrzynają się do kości.

Od ran ich odganiam gałązką
Muchy, które brzęczą niby kule.
Krótkie życie spracowanym z nawiązką
Wykukują skąpe zazule.

Ostatnie lato idzie łąkami
Z dźwiękiem miedzianej trąbki
I płaczą konie za latami,
Co znikły z bata świśnięciami
I się porwały jak postronki.

1965

* * *

Czereśnia stoi jak matka u drogi,
W żylakach czarne spracowane nogi.

Ma z białych kwiatów koszulę na sobie,
Błękit wiosenny jak mereżka zdobi.

To dobre drzewo mnie kiedyś, pamiętam,
Jak syna swego trzymało na rękach.

Tylu nam, dzieciom jej, szumiały listki,
Pół wsi wymienisz, nie wymienisz wszystkich.

Chyląc nad nami swe skronie zielone,
Jagód dawała nam smoczki czerwone.

Wieszaliśmy się na niej całym rojem,
Z mlekiem ssaliśmy tęskne niepokoje.

Huśtawką był nam jej szumny podołek,
Swą czereśniową chwaliliśmy dolę.

Kiedy gospodarz biegł tu z lagą ciężką,
Jak chmara wróbli sfruwaliśmy prędko.

A ten zazdrośnik dyszący ze złości
Tak tłukł ją kijem, aż łamał jej kości.

— Lepiej, by wszystko bez pożytku zgniło!
Krew czereśniowa jak bursztyn świeciła...

Czereśnia stoi zamyślona. Świta.
Jak biała chmura promieniem przebita.

Zdejmuję czapkę. Nie poznaje. Stoję.
— To ja, czereśnio, to ja, dziecko twoje.

Ona ociera łzę rękawem białym.
— Gdzieżeś tak długo, mój syneczku, bawił?

1965

Muszę

Muszę książki czytywać,
By oczy mi nie oślepły,
Rozmawiać muszę z ludźmi,
By nie oniemieć z tęsknoty,
Pieśni muszę posłuchać,
By nie ogłuchnąć od ciszy,
Muszę się w kimś zakochać
By przyszła do mnie radość,
Spotkać muszę przyjaciół,
By dzień mój był jaśniejszy,
Napisać muszę wiersz,
By serce mi nie pękło,
Muszę pracować, żeby
Nie wstydzić się chleba
I umrzeć o północy,
By rano znów zmartwychwstać!

1967

* * *

Pośród uli na ziemi gołej
Dziad mój leży, uciął sobie drzemkę.
Pszczoły łażą tak po jego czole,
Jakby było popękanym pieńkiem.

Po policzkach zapadniętych kroczą,
A on leży sobie jak nieżywy.
Są jak czarne blizny jego oczy
Zszyte nicią rzęs jego już siwych.

Niech zbierają miód piwny, gdy nęci,
Niech go biorą, ręka nie drgnie nawet.
Tak mój dziadziuś przywyka do śmierci,
Jak poeta przywyka do sławy.

1965

Manekiny

Manekiny noszą się modnie —
Zagraniczny garnitur, koszula.
Jedwab w sutych fałdach łagodnie
Od głowy do stóp je otula.

Manekiny pracy nie kochają,
Za szkłem tylko by w słońcu się grzały.
Senne muchy — ich myśli. Ziewają.
Od nieróbstwa im palce spotniały.

Manekiny zawiść zła męczy,
Samolubstwo je niemal zabija,
Kiedy ktoś się przygląda tęczy,
A je wzrokiem po prostu omija.

Manekiny pysznią się cudzym,
Swojego ich wzgarda nie minie,
Choć co prawda zażarcie się gryzą
O swoje miejsce w witrynie.

Manekiny serca nie mają,
I nie boli ich nic, i nie rani.
Manekiny gniewu nie znają
I nie płaczą — bez łez ani łzami.

Manekiny zawsze się śmieją,
Plucha idzie czy pogrzeb kroczy,
Ta — powiedzmy — rewolucja czemu
Nie przegnała takiej swołoczy?

Jednak nasze będzie zwycięstwo,
Cokolwiek zrobią manekiny:
Obce im ludzkie braterstwo
I nie wejdą do ludzkiej rodziny.

1966

Cymbały

Był u nas cymbalista, młody czarodziej muzykant,
Skakały jak rozbrykane źrebiątka palce jego ręki —
Cymbały brzmiały jak dzwony, dzwoniły jak srebrna
osika,
Jak kłoski, które biją na widnokręgu o błękit.

Znały go góry dalekie i znany był pośród dolin:
Twarz — księżycowy wieczór, zbłąkany w gęstym borze.
W niedzielę siedział grając na progu swej stodoły
I ludzie szli do niego, dom omijając Boży.

Nie kochał pop go, pięścią wygrażał na ambonie:
— To człowiek nie nasz! W ciemne zaplątany sprawy!
Gazdowie! Wy w tych strunach jak w postronkach
konie!
Ukorzcie się i módlcie! Czart powozi wami!

Może i żył w cymbałach pomocnik zwinny, ale
Tak po tych strunach skakał, że ludzki wzrok cóż
wart?
Sam cymbalista o nim niejeden raz zuchwale
Mawiał: — Patrzcie, jest dusza, a ciała nie ma czart.

Wypisz-wymaluj — inni mówili — koziołeczek,
Czarnym meszkiem na gębie przypomina trzmiela.
Któż uwierzy pogwarkom koło pustych beczek,
Gdzieś w przedsionkach biesiad, w podwórkach wesela?

— Ja wam, kumie, powiadam, on taki jak mucha!
— Ja wam, kumie, powiadam, on jak komar iście! —
Wiedzieli tylko jedno, że to zawierucha
Kominem z chmur strąciła dziadygę cymbaliście.

Prosto w garnek ze wrzątkiem wpadł diabeł lilipuci,
Za ogon go wyciągnął grajek i ochłodził,
Powoli — nie bez kija, rzecz jasna — grać nauczył
I grali teraz razem powiatu budząc podziw.

Cymbaliście, mówili, sprzyjało w życiu szczęście,
Z biesem się nie rozstawał, to się mu i szczęściło:
Na głowie swej go nosił, skrywszy we włosy gęste,
By mu samemu w domu w cymbałach się nie ckniło.

Przewiercił czart kapelusz, patrzył na świat przez denko.
Wszędzie bywali, tylko w cerkwi ani razu.
Śmiał się grajek — u ludzi tu z rozumem cienko —
I cymbały na ścianie powiesił miast obrazów.

Nie kochał pop go, pięścią wygrażał na ambonie:
— To człowiek nie nasz! W ciemne zaplątany sprawy!
Gazdowie! Wy w tych strunach jak w postronkach konie!
Ukorzcie się i módlcie! Czart powozi wami!

Pytano go — czemu? Mówił — modlę się w domu i szczerze,
Wiarę w Boga podtrzymać przecież to diabłów praca!
I na złość zaczął drwić z nich, niewidzialnego przecherę
Przy ludziach naumyślnie traktował jak brata.

Za oszewkę sobie wlewał kieliszek okowitki,
Kropelkę z dna — na struny: „No, mój diabełku, naści!"

Mdlały dziewki, parobki, wszyscy spoceni do nitki,
A bies siekł kopytami, drobił, w przysiadach tańczył.

I grając tak, na paluszku wirował jak wrzeciono,
To zastygał na moment, to mknął jak na świst bata.
Kiedy niebiosa spódnic krążyły nad nim szalone,
Zabawiał się na strunach jak w cyrku akrobata.

Wzrok cymbalisty jaśniał jak zima w słońcu biała,
Ręce podnosił w górę, instrument kolanem trząsł wraz.
Bies rechotał, głupiał, gził się, wściekał w cymbałach —
Raz jeszcze, raz jedniutki, prosili, no jeszcze raz.

Na ostatek jeszcze raz,
Nie kochajcie, dziewki, gazd,
Nie legajcie w przebiśniegach,
Bo wam zimno żyć już nie da.

Albo dosyć, albo jeszcze,
Bo już boli popod sercem,
Ginę, ludzie, nie od chłodu,
Grajże, grajże, tudu-rodu,
Graj!

Kiedy wracał grajek z wesela lub święta innego,
Na plecach bolały struny, poobijane jak kostki.
Dzieciarnia za nim biegła i patrząc na niego,
Czartu pokazywały język i figę wyrostki.

Końce strun niby chwościk były albo rogi.
On nie zważał na dzieci tłum rozzuchwalony.
Pielgrzymi, co z przeciwka szli, schodzili z drogi
Lub mówili dobitnie (każde słowo osobno): — Niech będzie pochwalony!

Ktoś czasem pocałować chciał go na powitanie
Lub sprawdzić, co na dobre słówko też on powie.
A on pytał: — No, jak tam? Pocałunki dziś na targu tanie?
I kark jak byk przeginał, cofając swą głowę.

Nie kochał pop go, pięścią wygrażał na ambonie:
— To człowiek nie nasz! W ciemne zaplątany sprawy!
Gazdowie! Wy w tych strunach jak w postronkach konie!
Ukorzcie się i módlcie! Czart powozi wami!

Nocą do niego przyszli, wyrwali z rąk cymbały,
Rzucili na podłogę i zawołali: „Przyświeć!"
Na jego oczach łez pełnych je siekierami rąbali,
W drzazgach czarta szukali, lecz nie znaleźli nigdzie.

Umilkł grajek na wieki, jakby milczenie ślubował.
Przez rok — do matki nawet — z ust mu słowo nie sfrunie.
I pewnego wieczora w swej stajni się zaryglował
I na krótkiej, na siwej, na martwej powiesił się strunie.

1966

Serce

Serce — jak ptak na wietrze.
Wiatr wyszarpuje gałęzie
Wprost spod nóg... Na czym możesz
Przysiąść, żeby zapomnieć,
Że palą skrzydła zmęczone?
Siądź na tej strzesze słomianej —
Nie bój się, żaden cię chłopiec
Kamieniem z procy nie trafi...
Siądź, moje serce, posłuchaj.
Ktoś tam płacze w tej chacie.
Nie znasz go, nie wiesz? Niełądnie.
Nie wolno ci przecież nie znać
Najmniejszej na świecie biedy!
Możesz nie rozpoznawać
Śmiechu, co ryje w żelazie.
W locie wysokim lub niskim,
Na palmie, brzozie, kalinie,
Możesz nie słyszeć chichotu,
Lecz musisz szloch najcichszy
Każdziuteńkiego człowieka
Usłyszeć i do dna zgłębić!
Siądź, moje serce, posłuchaj,
Kto płacze w chacie pod strzechą —
A rzucisz się w zawieruchę,
Zapłaczesz bólem tym samym
I z gniewu potem zaśpiewasz,
Wichurę zechcesz pokonać,
Moje próżniacze serce:

Zastawią na ciebie klatki,
Ziemię porosną bagnety
Jak łuska rybę.
Po świecie
Będziesz latać, upadać,
Nie wiedząc nawet, gdzie jesteś,
Ścierpną ci skrzydła i wreszcie
Z nieba się zwalisz jak kamień.
A dureń z gniazdeczka szepnie:
„Dosłużył się, ma za swoje!"
Ale pieśń twa się wzniesie
Z palmy, kaliny, brzozy.

1966

Jaskółki

O zmierzchu jaskółki latają
Niziusieńko, jakby się kąpały
W rzece, skrzydłem drogę wycinają,
Jakby ziemię w swym locie muskały.

Skądś z wysoka, gdzie wzrok nie dochodzi,
Czarną zorzą spadają i łzami...
O latawce moje, wirtuozi
Pętl, ósemek nad domów dachami!

Można strzaskać się, można kark skręcić,
Pierś rozedrzeć o ostry brzeg skały...
Bezsensownie gotowe poświęcić
Życie swoje dla tej muszki małej?

Nie, ta gra ich — nie tysiąc pogoni
I nie jadła jaskółcze chcą serca;
To ten ogień, a nie głód je goni,
Który płonie w skrzydłach od pisklęcia.

To ryzyko, szał nagłych pikowań,
To wiosenne wzloty nad chmurami.
Czuję w sercu tego lotu powab,
Odurzenie skrzydeł machnięciami.

Świtu promień może przebić ostry,
Rozstrzaskać się można na ścianie...
To nieważne, jeśli niesiesz wiosnę,
Lotem budząc lotu pożądanie.

1965

* * *

Twoje oczy, zbrodniczo grzeszne
Oślepiają jak wschodzące słońce.
Twoje słowa tak niebezpieczne —
Jak pociski w ognisku tkwiące.

Jak Azjaci nieprzeniknione
Grzechy twoje uśmiechniętolice.
Takim lękiem przy tobie płonę,
Jak w mróz stojąc koło krynicy.

Twoich palców ten chłodny powiew
Zerwał serca mojego listek.
Lęk mój zamienił się w podziw
Dla twych dłoni — awanturzystek.

Stanowcza byłaś jak powstanie,
Odliczałaś sekundy boju.
Mówiłem za każdym razem:
To ostatnia rozmowa z tobą.

Pocałunkami ciało pocięte
Wyniosłem z terroru słodkiego.
Mój podziw zamienił się w szczęście
Dziecięcia utulonego.

Za każdym razem — To koniec
— Mówiłem się z tobą rozstając,
Tyś nawet nie wzniosła powiek
Wiedząc, że wrócę nazajutrz.

1966

* * *

Przez czarny dym zniewagi i oszczerstwa
Przybiegła do mnie w pamiętną godzinę
Do mej samotni i swoją najszczerszą
Miłość przyniosła jak małą dziecinę.

Do pieszczot ręce wyciągnąć się bałem,
Bałem dłoń czule na dziecku położyć,
O pozwolenie słuszności pytałem,
Co umie tylko wstydzić się i korzyć.

Płakać z radości już się oduczyłem,
Przywykłem żyć w ponurym domu „muszę".
I krótkie „nie" jak ostrze noża wbiłem
Aż po rękojeść w tę bezgrzeszną duszę.

Wiedziałem: nigdy nie wybacza serce
Tego, co rozum zabija okrutnie.
Odeszła z martwym maleństwem na ręce,
Tuląc je tkliwiej jeszcze, jeszcze smutniej.

Nie zawołałem: „Wracaj, moja miła"
I nie czekałem na cud żaden. Nagle
Do gardła wściekła niby ryś skoczyła
Prawda, ażeby mścić się za nieprawdę.

* * *

Moja najczystsza w grzechu chwale,
Na bagnie, lilio moja biała,
Cudze uściski jak korale
Przy mnie już wszystkie pozrzucałaś.

Znów oczy pełne niewinności,
Dziecięca szczerość nie kłamiąca..
I na twej niepokalaności
Wzlatuję w grzech, co nie ma końca.

Czy twoja umęczona dusza
Chce przez pokutę się odrodzić?
I chociaż nikt jej nie przymusza
W jarzmo wierności sama wchodzi?

Chomąto i skrzypiący kierat,
Za łaskę nocy płać dnia hańbą?
Czemu nie wolno jabłek z drzewa
Wiedzy i życia rwać za darmo?

Czyś pójść gotowa na wygnanie,
Gdzie grudy skał i nieużytki?
Tu praca starsza niż kochanie,
A chleb — niż bursztynowe nitki.

Więc pójdziesz? Weź agaty. Będziesz
Wciąż taka sama, jaka byłaś.
W uzdeczkę moją mnie zaprzęgniesz,
Jakbyś osiołka prowadziła.

I jak osiołka dosiadając
Poranków będziesz jechać wstęgą,
Złocistym okiem swym strzelając
Do mijających nas włóczęgów.

Ja zaś cię będę kochał, miła,
Każdą cząsteczką swej istoty,
Za to, że się nie pogrążyłaś
Ni w bagnie, ani w nudzie cnoty.

Będę cię kochał, że od węża
Wzięłaś i mnie przyniosłaś owoc,
W którym marzenie jest i nędza,
I przez wieki trwająca młodość.

Bociany

W koniczynie chodzą bociany,
Ich nóg czerwonych nie widać,
Jedynie tułowie białe
Kołyszą się, niedosiężne,
Jak okręciki z papieru,
Które puszczałem na wodę...
Z radości nie wiem, co począć —
Powraca do mnie ta flota
Z dalekich krain dzieciństwa
I wiezie mi drogocenne
Cargo w wysokich ładowniach.
Wstępuję w zielone morze,
Trzewików nawet nie zdjąwszy
I czekam z niecierpliwością,
Wyciągam nad morzem dłonie.
Z pewnością będę nadbrzeżem
I mogę być też żurawiem,
I miastem mogę być wielkim,
Co statkom idąc naprzeciw,
Jak szczęścia diamenty błyszczy.
Lecz cóż to? Moje fregaty
Podniosły swe czarno-białe
Skrzydła, z fal piany różowej
Czerwone nogi się wzniosły,
Machnięcie skrzydła bociana
Twarz mi zmroziło podmuchem...
Stoję w koniczynie i widzę,
Że życie moje tak znika
Jak bocian w błękicie jasnym.

1974

Cmentarz samochodów

Kościół. W nowoczesnym stylu.
A cmentarz — jak katastrofa.
Wiatr za dusze automobilów
Modły wznosi do Sawaofa.

Żelazne aut szkielety
Poukładane na kupie.
Trupy drogowej fety,
Szybkości trupy.

W coś wątpił do tej pory,
Tu możesz uznać za pewnik:
Wyrwane serca motorów,
Maszyny, ludzie — to krewni.

W oczodołach trawa się jeży.
Po kościach pełzają czerwie.
Pokryła strupami rdza
Nagie czerepy karoserii.

Stalowa moc pękła i siła.
Nerwy już bólu nie znają.
Z martwych automobilów
Pnie martwych drzew wyrastają.

Na sąd ich nie wskrzeszaj już może,
Nie niepokój ich ciemnej istoty,
Bo świat mazut zaleje i, Boże,
Ty sam się w mazucie utopisz.

1961

z cyklu

BIAŁE SONETY

Stareńki rym

Stareńki rym do parkanu wiersza
Przybity, niby sztacheta zgniła
Zajmuje miejsce. Kiedy obojętnym
Przesuniesz wzrokiem, powiesz: „Wszystko gra!"

Lecz tylko spróbuj dotknąć tam ręką,
Tylko samemu spróbuj się przekonać,
Czy mocno w słowach siedzi gwóźdź myśli —
A oto już w poezji huczy dziura!

Lecz jeszcze gorzej, jeżeli młotkiem
Myśl zardzewiałą wbijać w deskę rymu,
Która zbutwiała i przyjmuje rdzę!

I po cóż klecić takie ogrodzenia,
Które dziurami wrzeszczą i niewinnych
Na pokuszenie do kradzieży wiodą?

1967

Skrzydła

Pochlebcy współczesnemu poecie
Zalepili skrzydła złotym miodem —
A on im pięknie podziękował za to,
Że z ptaka w płaza się zamienił... Mówił,

Że wnet mu słońce skrzydełka obliże,
A on rozpostrze je i znowu wzleci.
Cieszył się z błyszczącego perkalu,
Którym jaśniała dumnie jego dusza.

Nie wiedział, że słońce brzydzi się gadów,
Nie wiedział, że w ciasnej, jak strach, norze
Niby garb skrzydła będą mu przeszkadzać!

Sam je odrąbał, by żyć było łatwiej
I wysysając zaschłą słodycz sławy
Kością własnego udławił się skrzydła!

1967

„Danae" Rembrandta

W cichym wstydliwym nagości śpiewie,
Którego żaden jęk żądzy nie rozdarł,
Gorzkie wspomnienie miłosnych rozkoszy
I macierzyńskich przeczucie cierpień.

Ponad westchnieniem słonecznego łona
I cichnącymi dzwonami piersi
Kobiecej ręki gest przyzywający,
Oczekiwania pieśń i uległości.

I bóg rozpustny dziwi się nie mogąc
Całkiem rozdzielić ani całkiem złączyć
Świętości matki, urody kochanki.

Na wieki postać mężczyzny przybiera,
Porzuca swoją zimną nieśmiertelność,
Aby dostąpić mądrości poczęcia.

1967

Miłość

Pali się złote okno przedwieczoru,
A w oknie tym dziewczyna cicho tęskni.
Łagodny smutek i łagodny promień
Poprzez obłoki siwych płyną bzów.

Nagle tak szybko jak gdyby nietoperz
Postać chłopaka przemyka w tym świetle.
Dziewczyna chwyta swą szalową chustkę
I zawstydzona na plecy zarzuca.

W ogrodzie cicho, jakby ktoś tam był.
— To ty?
— To ja.
I przelatuje noc.
Nie nadążyły, minęły się słowa.

A chłopiec patrzy i tak jest mu żal,
Że na cieniutkiej gałązce anteny
Rozszczebiotała się poranna gwiazda.

1967

Źrebię

Noga za nogą idą siwe konie
Do wozu z trumną zaprzągnięte. Grzywy
Gospodarz sczesał im na oczy, żeby
Na cmentarz drogi nie zapamiętały.

Lecz one troszkę widzą przez te grzywy.
Udają ślepe, by nie smucić ludzi.
Ich dobroć jednak nie łagodzi smutku,
Ich mądrość jednak zgryzot nie rozwiewa.

A koło wozu biegnie małe źrebię.
To skubnie sobie lucerny spod trumny,
To sutek mamy chrapami obejmie,

To znowu zarży i bryknie nogami —
I jaśniej dzwoni pod jego kopytem
Łza czyjaś trochę jakby już weselsza.

1967

Wierność

Kiedy siedziała przed domem na progu
I piersią swoje maleństwo karmiła,
Zza węgła wyszedł jasnowłosy księżyc
Niby młodzieniec i spoglądał na nią.

Przed jego wzrokiem niewinnie chciwym
Pierś swoją nagą zasłoniła ręką,
A on jej wtedy złoty swój kapelusz
Pod nogi rzucił, sam zaś w lesie zniknął.

Ona dzieciątko zaniosła do izby,
Spać położyła i wybiegła na dwór,
Ażeby podnieść junacki podarek.

Lecz kapelusza teraz już nie było...
A człowiek, który właśnie wrócił z pracy,
Łzę ucałował na twarzy swej żony.

1967

Niecierpliwość

Zapragnął pastuch usłyszeć głos Boży
Z gorejącego krzewu i podpalił
Maleńki krzaczek uschłego jałowca.
I płomień, niby z granatu, wystrzelił,

I się sosnowy matecznik zajął,
I wielce pastuch ów się wystraszył,
Że spłoną pisklęta w swych gniazdeczkach,
A pełno było ich w kosodrzewinie.

Tedy się rzucił gasić jałowiec.
Lecz było za późno. Spłonęło wszystko.
A Bóg milczał, bo kochał innego.

Nie doczekawszy się znaku miłości,
Przez niecierpliwość, fałszywi prorocy,
Wyście spalili miliony skrzydeł!

1967

Chleb

Nie ma na ziemi takiego chleba
Jak tamten, który moja matka piekła
Na liściu orzecha, w piecu głębokim
Niby ów tunel koło Jaremcza.

Jak zorzami niebo, tak maminy chleb
Był obsypany ziarenkami kminku,
Z daleka nęcił mnie i przywoływał,
Niby pachnące święto w naszej chacie.

Nie do pojęcia, jak się pomieściło
Me całe życie w małym słowie: chleb,
Świat cały — w ziarnie pachnącego kminku.

Żyje w nim matka, co dawno umarła,
A orzech, który z żalu po niej usechł,
Wciąż mi w tym słowie szeleści, szeleści.

1967

Most

Na podobieństwo gilotyny rzeka
Krami ścinała jego mocny kark;
Taranem mu łamała obojczyki
Ciżba sierpniowych tłoczących się fal.

Pod serce mu dynamit podkładali —
W górę wzlatywał jak latawiec z dykty...
Zdarzało się, że zostawały tylko
Pod wodą pale jak cienie księżyca.

Za każdym razem jednak się odradzał —
Beton pokrywał mu boki i belki,
Z resztek zbutwiałych wznosiła się stal!

Nieśmiertelności sens pojąłem na nim:
Rozpięty w niebo zmartwychwstania most,
Albowiem most — to cząstka wiecznej drogi!

1967

Cud

Płonęła watra, leżałem jak dym.
A twoich włosów złocisty szałas
Taki przychylny i taki gościnny
Chciał mnie całego przyjąć pod swój dach.

Sputnik wysoko jak ciekawska zorza
Wolniutko leciał, aby nie przeoczyć
Tego, co stać się musiało tu w dole —
Już się zbliżała ta cudowna chwila.

Dostrzegłem w twoich źrenicach jelenia —
Pognał i swymi ostrymi rogami
Natarł, przygwoździł nas nimi do skały.

Splotły się bóle i ziemia przyjęła
Do swego wnętrza twój gorący oddech —
To młode ciepło wiosen, co nadejdą.

1967

Sedno

Znajdą się deski na moją trumnę,
Jak się znalazły na moją kołyskę,
Jednak kołyska została dla innych,
A trumna będzie wyłącznie moja.

Znajdą się słowa dla mojego smutku,
Jak się znalazły dla pieśni wesołej —
Tylko czy ludzie wezmą pieśń ode mnie?
Tylko czy umrze wraz ze mną mój smutek?

To takie ciężkie — pieśń napisać, co by
Z chaty do chaty jak kołyska szła
I wzrokiem matki do zórz kołysała.

To takie ciężkie — płakać w samotności,
Dla siebie własną zachować tęsknotę,
Co niepodzielna jest równie jak śmierć.

1967

Zachłanność

Na oślep w jabłku porusza się robak,
Więc nie zależy mu, by wyjść na światło.
Sam sobie własną wyjada drogę.
Przez jadło pełznie i do jadła pełznie.

A kiedy tylko zaświeci przed nim
Cienka łupinka jak niebo przed świtem,
Czym prędzej zmienia kierunek, wraca
W słodkie ciemności złotego owocu.

Dzwony ziarenek bijące na trwogę
Ucisza omotując, bowiem ciszę
Nawet niż ciemność bardziej jeszcze kocha.

Doszczętnie niszczy gniazdko nasienne,
Ażeby jabłko, jakie mu przypadło,
Nie odrodziło się w drzewie dźwięczącym.

1967

Śmiech

Dwoje ich było na lodzie. On padał.
Ona mu miękki podścielała śmiech.
Błękitne jatagany łyżew
Rozbłyskiwały w księżycowym świetle.

Błękitnym śniegiem majaczyły brzegi
Rzeki, jak mgły dwie, które zejść się pragną.
Lód między nimi skrzył się jasnym śmiechem.
Przy pocałunkach cichł dziewczęcy głos.

Do zakochanych raptownie podjechał
Łyżwiarz, co z nocy jak czart się wyłonił
I najwyraźniej bawić z nimi chciał,

I śmiał się głośno kręcąc niby fryga,
Od rechotania, zda się, trzaskał lód.
Lecz śmiech tych dwojga już się nie rozlegał.

1967

Drzewa

Nienawistna jest mi drzew pokora:
Rąb je, kłuj je, pal je — one milczą.
Jedniuteńka siekiera — a idzie
Przeciw lasom bezradnym zwycięska.

Dumę drewna zaś kocham upartą —
Ono w upał o wodę nie żebrze
I przed burzą nie chowa się nigdy,
I przed słońcem nie skłania się nisko.

Wysoka duma i niska pokora
W jednej duszy, w jednym żyją listku —
I tę jedność obmierzłą przeklinam!

Jak przegnać z dębów to tępe milczenie,
Kiedy przywykło już ono do ognia,
Który zamienia duszę lasu w popiół?

1967

Winnica

Pułki zielonej piechoty w paradzie
Doszły pod górę i znieruchomiały.
Zwyczajny kołek zamiast karabinu
Przy nodze każdy z wojowników trzyma.

Naboje wiszą w takich ciężkich gronach,
Że pochyliły się plecy wojaków.
Padnie komenda — i ruszy na góry
Słońca i ziemi to wojsko ogromne.

W jednym z szeregów zobaczyłem miejsce,
Gdzie można stanąć (by nie złamać szyku
Pęd posadzono tam w skale i usechł).

Zapamiętałem to miejsce cudowne.
Kiedyś tam pójdę i stanę w tym miejscu,
By żyły skalne zatętniły pulsem.

1967

Rozstanie

Zarżało z żalem sto tysięcy koni.
Pobladł mój głos i plotłem coś bez sensu.
Do samolotu weszła. Ja zostałem,
Niby jej cień, odcięty już przez drzwiczki...

Gdzieś tam, za siną górą nieba, na nią
Jej mąż z urzędu, niekochany czekał,
A ja się w jej wspomnienie obracałem,
Czułem już pęd powietrza obok mnie.

Żegnamy się na wieki na pogrzebie,
Kto kocha, też na wieki się rozstaje,
Jednak tych nauk nigdy nie pojmiemy.

Jakby dla żartu gumowym obcasem
Buta na płycie lotniska pisałem:
„Tutaj spoczywa ukradziona miłość".

1967

Sztandar

Prawdziwe serca przyciągają gromy.
Dlatego nigdy nie trzeba się skarżyć,
Jeśli ktoś upadł, rozbił się na pył,
Posiwiał, oślepł całkiem młody jeszcze.

Jeśli się boisz — wyrwij, wyrzuć precz
Swoje bezradne niebezpieczne serce,
A zamiast niego wepchnij sobie w piersi
Szmatę, nie będzie kusiła błyskawic.

Jednak jeżeli tak uczynisz, na dwór
W burzę nie biegnij, nie udawaj śmiałka,
Jeśli onucę nosisz pod żebrami.

Wszystka twa krew w chorągiew jej nie zmieni,
A kropla jedna serca, które żyło —
Chusteczkę tylko wzniesię nad wiekami.

1967

Oświęcim

Z Oświęcimia nie powrócę nigdy,
Choć przyjechałem tu z własnej woli.
Tutaj trzewiczki moich córeczek
Mówią wyrwanymi językami.

Tutaj okulary ojca na kupie
Pobitych szkieł, połamanych oprawek
Poznałem po wołowej żyle,
Którą były związane przy mostku.

Tutaj rozpoznałem siwiznę mamy
W stosie kobiecych warkoczy — po łodyżce
Suchego promienia z sianokosów.

Nie szukajcie metafor w tym wierszu,
Chyba że nie mieliście ojców
I bucików nie wkładaliście dzieciom!

1967

Żal

Posłała matka chłopczyka po grzyby,
A on pogubił w ciemnym borze ścieżki.
Zewsząd go gąszcze krzaków obstąpiły,
Jak pies szarpała za poły jeżyna...

Gdy się ściemniło, zaczął głośno krzyczeć,
Głosu się swego przestraszył i zamilkł.
Noc wpatrywała się ze wszystkich stron
W jego twarz smutną oczami niedźwiedzicy.

I się obudził w młodej duszy żal
Za matką, za słońcem, za dzieciństwem,
Ale wyżalić się nie było komu.

Nie umarł ten chłopiec, lecz go nie ma
I tego lasu już nie ma na ziemi —
Pozostał tylko ten żal w moim sercu.

1967

Motyl

Zastukał dzięcioł w sosnę. I motyl
Czerwonej kory przycupnął na śniegu.
Zakochany młodzieniec go chwycił,
W garści zamknął, jakby był żywy.

Ofiarował go swojej dziewczynie —
W środku zimy podarek niezwykły! —
Czuł, w najmilsze oczy zapatrzony,
Jak się motyl trzepoce łaskocząc.

Chwytaj! Chwytaj! — Skrzydełka kosmate
Zadyszały się, opadły, znikły.
Nie dostrzegła niczego dziewczyna.

A wiatr mu z dłoni otwartej zwiewał
Sosnowej kory piekące paprochy —
Miłość czy tylko pyłek po motylu?

1967

Łuk

Leżała w trawie, na wznak, rozłożywszy
Przygotowane na objęcia dłonie.
A linia piersi, ramion jej i rąk
Tworzyła obraz łuku w tym momencie.

Na jej nadgarstku cięciwę napiąłem
I dławiąc opór żywego oręża,
Gładziłem jego napięte wygięcia,
Tak je głaskałem jak przed pojedynkiem.

Nie ma zbyt wiele strzał w moim kołczanie
A wróg naciera, napiera ze śmiechem,
Przecież nie mogę przegrać tego boju.

Zatem na wierność swój łuk zaklinałem,
Ilekroć jego skracałem cięciwę,
Dopóki wreszcie nie zakrzyknął z bólu.

1967

Słowa

Niemało pochowałem słów. Zabili
Je obłudnicy. Potem grafomani
Gwałcili martwe. Ta przerażająca
Chłodna uległość. Zazwyczaj potrafią

Ludzie je z martwych wskrzeszać. Mnie takiego
Brakuje daru. Wstrętem napawają
Te trupie sińce. Nigdy nie zdołałem
Ich pocałować. Tylko to jedynie

Przywróciłoby im oddech. Myśl o nich
Lęk we mnie budzi. Może i ja sam
Też winien jestem ich śmierci? No, dosyć

Przejmowania się truchłem. Pogrzebałem
Je w sercu. Koniec. A jednak się boję,
Że jak robaki kiedyś się poruszą.

1967

Trzęsienie ziemi

Na czerń brunatną, na góry, na doły
Swój żółty dywan listopad rozkłada.
Ni dnia na ziemi jeszcze nie przeleżał,
A już w nim watry wypaliły dziury.

Jak martwe liście kładą się na duszy
Zamiary niespełnione. Tylko nie ma
Komu ich spalić w płomieniu wesołym
Albo do stajni zabrać na podściółkę.

Wszystko pod śniegiem codzienności gnije.
W strupy zamieni się sumienia krzyk,
Bez wstydu już go nie pokażesz ludziom.

Zechcesz jak ziemia zrzucić to co zgniłe —
Trzęsienie ziemi bywa niebezpieczne,
Kamienie rodzi — pamiętaj — i pali!

1967

Wspomnienie

Nie powiem ci, że jednak się zmieniłaś,
Że pojawiły się zmarszczki jak ślady
Źdźbełek trawy, co się odcisnęły
We śnie męczącym na wonnej otawie.

Nie powiem ci, że zmierzch głębokim cieniem
Już pod twoimi zgęścił się oczami.
Najwyższym górskim pasem twoich złotych
Źrenic przechodzi utrudzone słońce.

Teraz cię kocham jeszcze, jeszcze bardziej,
Bo więcej blasku, dobroci, jasności
W spojrzeniu twoim, w oczach twych dostrzegam.

Teraz powoli stajesz się wspomnieniem,
Ale w pachnącym źdźbełku twej zmarszczki
Mojego życia ukrywa się siła.

1967

List

Kiedy mój ojciec odszedł już na zawsze,
„Pieśniarza" w jego szafce znaleźliśmy,
A w książce kilka starych pokwitowań
I mój pożółkły, studencki jeszcze list...

Pisałem w nim, że czuję się dobrże,
Że mi pomocy żadnej nie potrzeba,
No, może trochę by mi się przydało
Bryndzy i świeżej mąki na żur.

Teraz się wstydzę tamtego pisania!
Tak jakby mój ojciec nie miał duszy
I sam jedynie myślał o jedzeniu.

Jakże zapomnieć mogłem, że żandarmi
Po wyniuchaniu u kogo jest „Pieśniarz",
Taty się mego bali jak Dowbusza!

1977

Zima

Na śniegu sosny smukłe i czerwone —
Dziewczęta, co się kąpały w przerębli.
Wiatr im kożuchów poły rozwiewa,
Lecz one chłodu przecież się nie boją.

Wiszą korale ich i koszule
Na ciemnym jak noc kalinowym krzaku.
Ot, podejść by tak, schować te ubrania
I sosen słuchać łabędziego krzyku!

Podszedłem bliżej, patrzyłem z ukrycia,
Jak tak tańczyły na ponowie złotej —
Czułem, jak woda pod lodem pluska.

A potem, gdy się drzewa już ubrały,
Dostrzegłem w zaspach na brzegu rzeki
Wstydliwy ślad dziewczęcych bosych nóg.

1977

Wiosna

Jak poczerniały knot zgaszonej świecy
Przy drodze stoi pojedyncze drzewo.
Pod nim znużone, pożółkłe jak starcy
Leżą z oczami przymkniętymi śniegi.

Lecz już sikorka swoje złote skrzypki
Skończyła stroić i wychwala słońce.
I po skorupie lodowej już mętne
Wody spływają niby wełna z owiec.

Na sercu lekko. I do nieznajomej
Dziewczyny się uśmiecham. Może życie
Jest właśnie takim wiosennym uśmiechem.

A potem sfruwam i tej bocianicy,
Która na wierzbie gniazdo niby kościół
Buduje, gałąź uroczyście niosę.

1977

Lato

Krążkiem jądrowej cytryny się stacza
Słońce, z błękitu opuszcza się w dół
I na wieczornym horyzoncie płonie
Jak na wiśniowej korze łza żywicy.

O piersiach ciężkich, nagie jak boginie
Z płócien Rubensa, idą brzegiem rzeki.
Jak przez abażur zielony prześwieca
Blask ciał różowy w sitowiu zakola.

Raptem się zjawia skądś młody centaur —
Koń i młodzieniec — jeden stwór szalony —
I wbiega w wodę, między krzyk i śmiech.

Ze strachu młode zwaliste mężatki
Na wybrzuszonych, wzdętych swych koszulach
W niebo się wznoszą jak jasne anioły.

1977

Zazdrość

To ciemne światło już nie płonie w oczach,
Nie dźwięczy w głosie rozwiązłość schrypnięta...
Niegdyś kusiłaś cały świat, a mnie
Paląca zazdrość chwytała za gardło.

Tylko ta czystość, biel oślepiająca
Jak śnieg po nocnej zamieci została:
Jak okiem sięgnąć leży nieruchomy!
Z nieskalaności wionie tylko chłód.

Sczerniała moja dusza, osmalona
Jak drzewo w polu, pod którym ognisko
Nieraz palili wędrowni tułacze.

Wydaje mi się, że minęło życie,
A to żar tylko we mnie się wypalił —
Na śnieg sfruwają czarne płatki sadzy.

1977

Łzy i pot

„Nam nic nie trzeba, wszystko dla tych,
Co po nas przyjdą pod te wieczne zorze.
Za nas powinni oni piękniej żyć,
Niechaj łzy nasze płyną ku ich słońcu!" —

Tak bezustannie mówi faryzeusz,
A ja doń krzyczę: milcz, stary szachraju,
Przecież za ciebie nikt już żyć nie będzie,
Przyszłości twoje niepotrzebne łzy!

Dla siebie zbuduj autostradę, okna
Dla siebie wymyj, będą miały dzieci
Gotową drogę, będzie słońce w chacie.

I o tych, którzy na wojnie, nie pytaj...
Bo śmierć za wolność — nie najcięższa praca,
Ku słońcu płynie śmiertelny ludzki pot.

1967

Mech

Mech zielonkawy na kamieniu rośnie,
Podobnie cisza tysiącletnia na świat
Wychodzi z wnętrza kamiennego ciała
I tak się kuli niby mały jeżyk.

Strwożona burzą i krzykami ptaków
Tak bardzo pragnie znaleźć się z powrotem
W mroku, skąd wyszła, w ciemności bez szmeru,
W kamiennym wnętrzu, które nie ma dna.

To niemożliwe, nie znajdzie sposobu,
Kto raz z niebytu wyszedł — temu nawet
Śmierć już spokoju przywrócić nie zdoła.

Grzmi, huczy burza, jak łom błyskawica
Z kamienia zdziera małą grudkę ciszy
I ją na popiół spala boskim ogniem.

1977

Głos

Obłudny wiersz w pozłącanym gardle
Swojego twórcy dźwięczy jak dzwon prawdy.
Lękliwa nuta — rozbrzmiewa odwagą,
Bezsilność — gromem grzmi zemsty i kary.

Lecz kiedy tylko gardło się mu zedrze,
Jego poezja blask traci i wiersze
Bez jego głosu jak bez przyodziewku
Boją się książek schronienie opuścić.

Jak lalki — póki aktor jest w teatrze,
Mówią i krzyczą, śmieją się i płaczą,
Aktor wychodzi — przychodzi niemota.

A ty, me gorzkie, utrudzone słowo,
Gdy mnie zabraknie, czy jeszcze przemówisz,
Czy także razem z moim głosem zamrzesz?

1978

Twórczość

Na palu giniesz. Ślepnie cichy jęk,
Uschniętym pędem winnej latorośli
Zwisa twa ręka, jak sok czarnych jagód
Po słupie spływa twoja czarna krew.

Wtem ci podają na szyderstwo łuk —
Rechot sułtana, piski eunuchów.
I ty, coś błagał przed chwilą o śmierć,
Teraz zębami chwytasz kilka strzał.

Tak się zaczyna twórczość. Najpierw boli,
A potem prawdy i zemsty chce serce.
Pisz — jakby chwila ostatnia nadeszła.

Nie zdradzi tylko to słowo, któremu
Jak Bajda wzrokiem wymierzyłeś szlak,
A duszę dałeś śpiewną i odważną.

1967

Matka

Do matki często we wspomnieniach wracam
I składam czoło swe zafrasowane
Na ciemnych splotach żył przecinających
Jak błyskawice spracowane ręce.

Nigdy te ręce mnie nie uderzyły,
A kołysały tylko przy rozstaniach.
I tak też było tym ostatnim razem,
Kiedy na zawsze już matka odeszła.

Nie bałem się tych spracowanych dłoni,
Lecz teraz z lękiem myślę, czy przypadkiem
Nie zawiniłem kiedyś tym rękom matczynym?

I czuję w skroni to najdroższe tętno,
W nim błyskawica mojego sumienia,
Która rozświetla mrok i ciemność duszy.

1978

Samoloty

Jak ryb ławica, zastygła w przejrzystej
Wodzie, na polu błyszczą samoloty.
Jeden wzlatuje w niebo niby szczupak,
Co w górę leci schwytany na haczyk.

Jakby na chmurze albo może wyżej
Gdzieś sobie rybak niewidzialny siedział
I rzucał spining, i na wysokości
Wyciągnął zręcznie srebrne błyskawice.

Szczęśliwa pewnie tylko ta rybeczka,
Co z zakrwawionym pyskiem śmignie znowu
Pod taflę wody. Jednak i tak bywa,

Że z nieba nigdy nie wraca samolot.
Gdzież to swą zdobycz, gdzie ten ciężki połów
Wędkarz z Trójkąta Bermudzkiego chowa?

1978

Chmura

W Liuczki i Pruta zielonych zakolach
Jeszcze w dzieciństwie widziałem tę chmurę.
Przypominała stroskaną żniwiarkę,
Która nad dzieckiem zasnęła wśród snopów.

Rozpoznawałem siebie w tym jej dziecku,
Wiedziałem, że śni jakiś sen kłamliwy.
Obudź się, mamo!... Chmura odpływała,
Jeść zaczynałem pańszczyźniany chleb.

Teraz w rodzinne znów spoglądam wody,
A niebo dzisiaj ponad światem wyższe,
W zorze się nasze obróciły łzy.

Wszystko odeszło, tylko sierp maminy,
Co wypadł z ręki jej zmęczonej, świeci
Tęsknie na nieba wieczornego ścierni.

1978

Ojczyzna

Każdy ma swoje jedyne drzewo,
Jak gwiazdę i jak matkę. Póki grom
Albo zdyszana siekiera lub piła
Go nie powali, jego dusza rośnie

I kwitnie. Oto niezgłębiona więź
Z niebiem i ziemią. Ale jak odnaleźć
Tę swoją zorzę i to swoje drzewo,
Swoją niebieską i ziemską ojczyznę?

Nie, nie od razu przenikniesz naturę
Spokrewnionego światła, tajemnicę
W pożyłkowanym liściu własnej dłoni.

Drzewa i światła szukasz. Ale
Znajdujesz matkę. Ona jest wszędzie —
I w promieniach, i w korzeniach, i w dzwonach.

1979

Pocałunek

Od pocałunku podłego człowieka
Dusza twoja ściemniała. Zabolał
Nerw sumienia, łaskawie przecięty.
Jak gdyby wstęga, kiedy uroczyście

Most się otwiera lub muzeum. Czemu
Nie dałeś w gębę za ten judaszowy,
Fałszywy pocałunek, a ulegle
Sam pocałunkiem mu odpowiedziałeś?

Fałszywie uczą ci, co nakazują
Zawsze tym samym się odpłacać. Kłamstwem
Za kłamstwo. Prawdą — za prawdę. Truciznę

Cudzej podłości w sobie zatrzymałeś,
Kłamstwem za cudze kłamstwo odpłacając...
Most czy muzeum? Nie — zwyczajny śmietnik.

1978

Koń

Gdy zmierzch zapadał, wtedym go wyprzęgał...
Zmordowanego całodzienną orką
I błyszczącego, mokrego od potu
Wyprowadzałem paść się na sianożęć.

A tam pętałem go i wiersze swoje
Jemu czytałem. Utrudzony koń
Patrzył na księżyc błyskając oczami
I płakał, co mnie wcale nie cieszyło,

Wesołe bowiem czytałem mu wiersze,
Pełne humoru młodzieńczego. On zaś
Nie o nich myślał. Lecz i tak bywało,

Że bardzo smutne czytałem utwory,
A on rżał, i ten śmiech szyderczy
Do dzisiaj jeszcze w duszy mojej dzwoni.

1978

Jeszcze o koniu

Niewykluczone, że się dusza konia
We mnie wcieliła, bowiem na zielone
Trawy mnie ciągnie wiosną, a pod jesień
Kąpać się lubię w białym złocie owsa.

Delikatnością swą onieśmielają
Mnie owsa kłoski. Całym swoim sercem
Zaś nienawidzę chomąta i szlei,
Uzdy i szory, siodła i nahajki.

Ale jest we mnie i rys przeciwstawny
Naturze końskiej — podchodząc do wrogów
Nie staję bokiem, w oczy im otwarcie

Spoglądam, dęba nawet stanąć mogę
Przed samym bogiem. Plecami się tylko
Do nikczemności jedynie odwracam!

1978

Spojrzenie w źródło

Rozumiem światło. Światło to jest dusza
Miłości w głębiach kosmosu. Ofiara.
Rozumu blask. Błogosławieństwo światu.
Rąk płomień. Trawy zielonej wesołość.

A czym jest ciemność? Tego właśnie nie wiem.
Możliwe, że to smutek samotności.
Dusza kamienia. Żądło gniewu. Lepkie
Bandaże mumii. Zazdrość nienawistna.

Lecz bez ciemności nie może objawić
Jasność potęgi swojej człowiekowi.
Noc jest potrzebna tym zmęczonym oczom.

I tak mrok śmierci oczyszcza krynicę
Ludzkiego wzroku, jak piasek podziemny
Oczyszcza wody jaśniejące w źródle.

1979

Robaczek świętojański

Zbutwiały, nędzy wytwór zgniłej nocy
Z wnętrzem świecącym. Zaduma ciemności.
Iskra wieczności wystudzona. Zorza
Listka na bagnie. Marzenie zżartego

Przez rdzę silnika na samochodowym
Cmentarzu smutne. Uciecha poety,
Który takiego ognia, co zabija,
Od prawdziwego nie może odróżnić.

Pustkowia jaskrawe wołanie. Dusza
Zbutwiałej kłody. Nikczemność, która
Przypadkiem drogę geniusza oświetla.

Błogosławiona na proch rozbitego
Słońca pełznąca przez mrok odrobina.
Świetlik — robactwa niedosiężny bóg!

1979

Kamień

Wszystko tu prochem. Może tylko kamień
Ogląda nieśmiertelność. Ślady kół
Jak małe rynienki doń przywarły.
I tak już będzie zawsze. Żółty listek

Albo wiosenny strumyczek prześpiewa
W tych zagłębieniach całe swoje życie
Odmierzone i krótkie, on tymczasem
Leży, jak leżał, wmurowany w drogę.

Lecz mimo wszystko tylko w owym listku
I w owej wodzie odczuję naprawdę
Pragnienie, aby być kamiennym traktem.

I cała jego niema nieśmiertelność
Nie znaczy nic bez dźwięku wozu, który
Po nim raz jeden jedyny przejechał.

1979

Majowy deszcz

Zbudził majowy deszcz lasy i trawy,
Sady, zarośla, obudził skrzydlatych
Śpiewaków serca, słowa ludzi jasnych,
Pozieleniało wszystko i zakwitło.

Lecz kątem oka zobaczył jeszcze
To suche drzewo i tę duszę martwą
Upodlonego człowieka i bardzo
Na ten się widok poczuł nieszczęśliwy.

I płakał deszcz, lecz krótko. „Niechaj spłonie
To, czego wilgoć wskrzesić nie zdołała!"
I zaraz poszły w ruch strzały błyskawic.

I się niejeden świerk uschnięty zwalił,
Zaś ci, co w duszach swych lękliwych mają
Piorunochrony — żyją uśmiechnięci.

1979

Czeremcha

Czeremcha rośnie na urwistej skale,
Zupełnie niedostępna. Tylko ja
Kiedyś dawno jak kozioł alpejski
Doskakiwałem do niej, jej kwitnące

Gałązki łamiąc i sfruwałem na nią
Z koziołka stając się łabędziem. Teraz
Już tam ktoś inny łamie białe kwiaty —
A ja zazdroszczę i tak bardzo boli,

Że mnie się takie cudowne przemiany
Już nie udają. I kiedy kusząco
Kobiece ciało, które nigdy słońcu

Nie ukazało swej nagości, błyśnie
Jak ta czeremcha w podkarpackim jarze,
Poderwę skrzydła, lecz rogów nie zgubię.

1979

Przeczucie

To ja, a ono — to moje przeczucie.
Niby przewodnik wskazuje mi drogę,
Za duszę szarpie i pociąga, kiedy
Kroku przyśpieszyć trzeba, ale czasem

I tak się zdarza, że sam jego pleców
Staram się dotknąć i macam palcami
Jak ślepiec. Nadaremnie. Jego nie ma.
Nie ma. Sam jestem. A iść przecież muszę!

Boleśnie padam i z bólu odchodzę
Od zmysłów, ten mój szyderca specjalnie
Tam mnie zostawił, ażebym się potłukł.

Rzecz jasna, on też dół widzi nie każdy;
Wpadniemy kiedyś obaj i dlatego
Swój płacz i jego chichot błogosławię.

1979

Spojrzenie

Dzień tylko była i moje błagalne
Spojrzenie ze sobą wzięła. W zamian
W mojej duszy, niby ziarno w ziemi,
Nie narodzone zostawiła słowo.

Czuję już, jak kiełek porusza ostrzem,
Przebija się powoli i korzenie
W sercu moim zapuszcza — będzie kłos
Jak słońce promienisty. Jakże chciałbym,

Byś wszystkie swoje cierpienia i lęki
Zakołysała na źdźiebełku zorzy,
Która z mojego serca cicho wschodzi.

Spojrzeć na niebo — to jedyny sposób,
Aby odzyskać błagalne spojrzenie
I zebrać żniwo z mojego kłoseczka.

1979

Tęsknota

Ta kobieta czeka na mnie. Stoi
W świetlistej chmurze pod każdym jaworem
Wśród złotych liści. O północy na mnie
Na każdym placu wielkomiejskim czeka.

Po wodzie, poprzez wiosenne roztopy
Między chatami idzie mi naprzeciw.
Gdy mój samolot spada, patrzy na mnie
Twarz jej zza szyby iluminatora.

I nic mi nigdy nie przynosi takiej
Ulgi jak smutny uśmiech na jej twarzy,
I nie pociąga tak nic jak spojrzenie

Okrutnych oczu, w którym kiedyś przecież
Zauważyłem płomień przychylności,
Miłości gniewny rozbłysk, a nie smutku.

1979

Morze

Szronem pokryte jesienne morze
Jak niwa stepu. Jednak głębiny
Tak rozświetlone reflektorami,
Jakby płynęła tam podwodna flota.

Przez fale, które zastygły jak łuska,
Patrzę na góry zatopione. Lato.
Rosa na trawie niby srebrne sieci.
Ojciec i moi dziadowie tam koszą.

Wychodzą z morza i z powrotem
W błękitne dale powracają,
Ledwie ich kosa muśnie brzeg.

Gdzieś tam zwyczajnie płyną statki,
Lecz zwały wód kołyszą ramionami
Moich dalekich przodków. Morze kroczy.

1979

SZLIFIERZ SŁÓW

Szlifierz słów

Wiecznej pamięci
Maksyma Rylskiego

1

Jak dygotanie osik przerażonych,
Co zasłaniają siwe oczy listkom,
Kiedy siekiery język rozpłaszczony
O szczęki piły cmoknie całkiem blisko,

Niby kobiecy okrzyk zrozpaczony,
Prośby o pomoc gasnące ognisko
Wśród nocy, niby syk żmii czerwonej,
Co w sercu sobie znalazła siedlisko,

Tak niosę, niosę tę wieść najstraszniejszą,
Co od kijowskich przybyła rogatek,
By w drzwi zastukać już z samego rana...

I usłyszałem, wyszedłszy przed chatę,
Jak ziemia krzyczy boleścią najszczerszą:
Ach, synku mój, ogromna we mnie rana...

2

O, Jarosławno, nie płacz, idzie kniaź —
Już się go teraz nie imają strzały.
Na koniec zgraja lokajów zgłupiałych
Przed niewolnikiem upadła na twarz.

A on na twarzy trochę wynędzniały —
Cóż, nie najlżejsza ścieżka się trafiła.
Iskra z podkowy drogę podpaliła
I konie, ogień niosąc, cwałowały.

Spójrz, Jarosławno, waleczni druhowie
Na tarczach niosą swego przyjaciela.
— Maksymie! — tylko to imię wypowiedz,

A on jak ptak ten, który się spopiela,
Aby zmartwychwstać, z siwizn swoich wstanie
I znów ci całe życie złoży w dani.

3

Dni swe jak sosny złotomigocące
Spalił, by przyszłość na nich obrodziła.
W słowo się jego dusza zamieniła
Z pracowitego buntu powstające.

Gdy raz ostatni zza stołu cierpiący
Dźwignął się, kiedy godzina wybiła,
Niejedna gwiazda nieznana nam lśniła
W czoła wszechświecie już dogasającym.

Na skałach bólu gdzieś poumierały,
W tej czarnej pustce. Niosąc trumny nawę,
Młodzieńcze ręce nam się obrywały.

Od słońc umarłych taka ciężka była,
Że się w ramiona cień jej wrzynał nawet
I przygniatała jak kamienna bryła.

4

Ten dąb żelazny czarnymi rękami
Dusił w chmur gąszczu jak żmije syczący
Pomiot błyskawic, życie spalić chcący,
Sam nad młodymi płonąc dębinkami.

One od niego wiedzę przejmujące
Wciąż wyżej rosły, mężniały z latami,
A z niego liście spadały gwiazdami,
Przyszłością piękną ich się radujące.

Jeden po drugim potok ognia po nim
Spływał i w trawie bulgocąc się pienił,
Póki mu serca w mroku burzy czarnym

Ze starej piersi całkiem nie wydarli.
Ale i martwy też od gromu chroni
Rodzinę swoją żyjącą w zieleni.

5

Było w nim jakby dziecko uśmiechnięte
I ciepły błękit ukraiński, biło
W nim serce, które urodziła miłość,
Jak pieśń uczciwe, jak pszczoła zawzięte.

I siwoskrzydłe, troskami przejęte
Czoło, co blaskiem nimbu Franki lśniło,
I Zaleźniaka imię dalej żyło
W nim, siekierami pańskimi pocięte.

Tylko tych oczu, które nam świat w słowie
Pozostawiły, podziw nie wypowie,
Płonąłem z dumy, skąd wziąć ich kolory?

Tak jak jaskółki śladu w niebie czystym
Ich też nie odda ni czerwonokrwisty
Granit, ni marmur na anemię chory.

6

Stałem przy trumnie Maksyma Rylskiego,
Płakałem, czując w sercu żal i ciemność.
I wybaczyłem sam sobie nikczemną
Swą własną marność z wysokości jego.

Mówiłem sobie: zgódź się co do tego,
Że śmierć podąża ścieżką potajemną,
By mózg w krzem zmienić, zaprzeczać daremno,
Kości — w pneumę pędów bzu czarnego.

Nieśmiertelności nie rodzą mogiły,
Ona ku oknu z kołyski się zrywa,
Jej wielki sekret samo życie skrywa.

Błogosław zatem życia swego siły,
Byś własną drogą kroczył bez wytchnienia,
A to, jak umrzesz, już nie ma znaczenia.

7

Był ranek, kiedy przyjaciół wołania
Posłyszał z lasu, zew rogów myśliwskich
I wyszedł z chaty w ten poranek mglisty...
Do dzieci swych nie wrócił z polowania.

Może go zwiodła czarnooka łania,
Tam, gdzie już nie ma ścieżek nawet śliskich
I dotąd błąka się obłędu bliski,
Milczy, próżnego wstydząc się wołania?

Nie! Z drapieżnymi wilkami się mierzył,
W kurzeniu z wieńców teraz oto leży,
Śpiąc cicho, jakby śnił o Ukrainie.

Majaczą niby stogi siana drzewa,
Gdy wieczór na nie mleczne mgły nawiewa —
Pomiędzy nimi łania sławy płynie.

8

Kiedyś przed laty tata mnie zaczynał
Uczyć, jak trzyma się przy stole łyżkę.
Dziś, chwała Bogu, znam prawidła wszystkie,
Choć to niełatwa (Nie śmiej się!) dziedzina.

Jeden tę łyżkę chwyta jak Jadwiśkę
Za rękę, ściska, wykręca, wygina,
Drugi jak smyczek — jak smyczkiem wycina,
Ów — jak tonący palce wczepia śliskie.

Do skurczu, bólu, omdlenia, szaleństwa,
By oddać całą siłę człowieczeństwa,
Naucz się trzymać pióro jak niewielu...

Wówczas w zapiekłym milczeniu je wreszcie
Powrozem przywiąż do nadgarstka jeszcze
I pisz, dopóki da się, przyjacielu.

9

Słyszałem jego głos w tej smutnej sali:
„Śmierć to nie sługa! Nie zetrze, poeci
Z ksiąg waszych kurzu i pyłu stuleci
I nie odczyści wam wstęg i medali.

Ni epitetów, które wam dawali
Pochlebcy starzy, blasku też nie wznieci,
O miedzi złoto mówili, tak świeci,
O ścieżce — toż to strzała magistrali!

Śmierć jak wróg pełznie, gdzieś w ciemności czeka,
Gdy jej nie wyjdziesz z mieczem na spotkanie —
Życie wciąż jakby horyzont ucieka!

Ten nad swą śmiercią zyskał panowanie,
Komu orężem na nienawiść — miłość,
Kto jej dorównał, ale dobra siłą".

10

Kochać swój naród i w miłości owej
Chodzić tak, jak koń w swym chomącie chodzi —
To nic, że każdy dzień do krwi cię bodzie,
Na dumnym grzbiecie wciąż zgrubienia nowe.

I się nie skarżyć na dyszle grabowe
Ani na drogę o głodzie i chłodzie,
Na drabiniastym ciągle ciągnąć wozie
Snopy nadziei na pastwiska płowe.

Nie patrzeć wzrokiem z przerażenia ściętym,
Choćby pół świata zwalili i fura
Niebios sięgała pawązem wygiętym,

Kopytem zaprzeć się w zgryzotę duszy,
A pszczółki słabej nie rozdeptać, która
Zmokła i teraz na drodze się suszy.

11

Czerwone wieńce jak tarcze wspaniałe,
A on tak leży jak rycerz w zbrojarni.
Czy niewidoczne będą i bezkarne
Rany, co duszę jego rozrywały?

Na warcie przy nim także i ty stałeś
Jak obok słońca knot lichtarza czarny.
Chociaż wierszyki twoje były marne,
Genialne przecież donosy pisałeś

Brudny podłości i strachu bękarcie,
Wbijałeś w jego serce się zażarcie,
Własneś na niego wylewał pomyje...

Lecz oto twoja godzina już bije
I mimowolnie ten tak dobry człowiek
Nieśmiertelnością swą mści się na tobie.

12

Niechaj z was każdy z niego przykład bierze,
Jak w bryle marzeń bez kształtów gotowych
Jasną, przydatną dla wiecznej budowy
Znajdować płytę, młodzi słów szlifierze,

I jak królestwa Tarasowej mowy
O wielkich duchów poszerzać rubieże;
Niech wam trucizna wzroku nie odbierze,
Gdy już dym pochwał sięgnie waszej głowy!

Każdego piórka szanujcie przecinek
Z jego stu biało rozskrzydlonych tomów,
Co unosiły z urwisk Ukrainę.

Tak ją rozumiał i kochał, i lubił,
Że się wśród mroków rozkładu nie zgubi
I z pierwszą zorzą powróci do domu.

13

Ma dusza niby popękana ziemia,
Mgła smutku, gdzie klęsk szczeliny i rowy.
Lecz wschodzi słońce, jaśnieje dzień nowy —
Z tej mgły wychodzę jak z mroków podziemia.

Nie porysuje piach pustyni teraz
Już błękitnego kryształu mej mowy
I miękki smutek w blok się granitowy
Zmieni, już znika postać Azazela.

Ucieka duch pustyni... Idę dalej,
Choć nie zrażony on mi na złość stale
Wznosi pod niebo wysokie przeszkody...

Drogo prawości, wiedź mnie, o to proszę,
By jeśli nie ja, ktoś inny tam doszedł,
Gdzie zorze ciche i gdzie jasne wody.

14

W odgromnik swego pióra nie zamieniał,
W splotach błyskawic nie utracił wzroku.
Wyprostowany — chyba że z potoku
Pił wodę — wtedy przywarł do strumienia.

On Ukrainy urodą promieniał,
Służąc jej z dumą wciąż był przy jej boku
I od poziomek po jutrznie obłoków
Wyrzeźbił pomnik słów swego plemienia.

I pójdzie dalej — i wraz z nami będzie
Na wszystkich stypach i weselach naszych.
Po mostach, które wzniosła miłość, przejdzie.

Ni trotyl, ni też pleśń go nie odstraszy:
Nieść będzie słońce dzisiejsze w siwiźnie
Ku słońcu, które zaświeci w Ojczyźnie.

15

Znów — w jego życiu — ich serca cierpiały,
Raz jeszcze przeszli przez wygnania czyściec,
A on ich wierszy krawędzie najczystsze
Na ukraińskie zamienił kryształy.

Na jedną chwilę w ten lipcowy ranek
Pozostawili swoje piedestały,
Gdy w honorowej warcie przy nim stali
I drżały plecy ich łkaniem wstrząsane.

Wraz z nimi przez tę granicę on przejdzie,
Gdzie nikt o paszport ni o cło nie pyta,
Prawdę puszczają, a kłamstwo nie wejdzie...

Świeci narodom ponad ciemnościami
Zorza Maksyma Rylskiego obmyta
I Mickiewicza, i Puszkina łzami.

1967

z cyklu

TAJEMNICA TWOJEJ TWARZY

* * *

Miłości moja — tyś jak Bóg:
Dziś już nie wierzę, że istniejesz.
Wśród niezliczonych ziemskich trwóg
Zginęło imię twe. Do ciebie,

Choć sam przed sobą to ukrywam,
Należę jednak ciągle jeszcze,
Chociaż potęgę twą przyzywam
Już nie w modlitwie, a w przekleństwie.

Nie sądź mnie słusznie za niewiarę,
Lecz znak daj miłosierdzia gestem:
Przybądź, błogosław, wydrwij nawet,
Jeżeli tylko, tylko jesteś.

* * *

Był jak niemowlę dzień tak jasny,
Nie płakał nikt i była cisza.
Ale zadrżałem, jakbym właśnie
Twój szloch z daleka skądś usłyszał.

Wiem przecież, że tyś nie płakała.
W tym świecie, który grzmi i huczy,
Tyś imię tylko wyszeptała
Mnie przyzywając tej minuty.

* * *

Gdzie wyglądałem cię, jak święta
Wygląda utrudzony człowiek,
Tam drzewa, ptaki i zwierzęta
Na wieki zakochane w tobie.

Gdzie jak bez kwitnąc twoje włosy
Pachniały — bzów niebieskich zapach —
Tam serce wzbiło się w niebiosy,
W oślepiające szczyty świata.

Gdzie speszony w młodzieńczej erze
Przyjmowałem twój dotyk płonąc,
Tam zorzami wciąż świecą wieże
Najwspanialszych moich wieczorów.

* * *

Staniemy oboje na leśnej polanie,
Gdzie błyszczy powietrze jak siwe opale,
Będziemy oboje jak jeleń i łania
Wsłuchiwać się w lasu nieśmiałe wołania.
Odpoczną nam gardła i płuca po dymie
I nasza pieśń czysta wysoko popłynie,
I wiatr nam zatrąbi, zagrają nam trawy,
I strzał myśliwego nas wróci do jawy...

* * *

Zdejmij mi leciutką dłonią
Z brwi płatek śniegu, z serca lód, tę bryłę
Powagi, smutku, niepokoju,
To, co przez wszystkie te lata zdobyłem.

Ach nie, nie zdejmuj — bo znów się poruszy
Żądło twojego młodziutkiego piękna;
Jak nóż przyłożyłem ten lód do swej duszy,
By nie bolała, żeby tak nie piekła.

* * *

Jak świeczka w polu brzoza
Zielonym ogniem się pali,
Zgasić jej nie zdoła
Ni wiatr, ni łzy błyskawic.

Kiedy posępnym dzwonem
Zahuczy błękit jesieni,
Poczerwienieje ten płomień
I cicho spadnie na ziemię.

Miłości ognioskrzydła,
Blaknąca w jesiennej dali,
Jeśli smutek miałby cię zgasić,
Niech cię lepiej zgasi nienawiść.

* * *

To nieprawda, że umrzeć mamy!
Tyś jest ziemia, a ja — twój siewca.
Sunie lemiesz — pod jego ciężarem
Rozraduj się, miła, i nie płacz.

Niechaj spulchnią twą duszę twardą
Pieszczotliwe radości deszcze.
W twoje skiby sam niby ziarno
Życiodajne upadnę wreszcie.

I zgłębimy niebios przestrzenie,
Od gwiazd wyżej kłoski dźwigniemy.
Niegasnącym nigdy płomieniem
Pszenicy przez wieki pomkniemy.

* * *

Uschłem, spłonąłem do końca,
Lecz cudu nadchodzi znów chwila:
Ma dusza głodna, łaknąca
Raz jeszcze się będzie posilać.

Życie dajesz, wracasz mnie światu,
Od stu śmierci tyś ma obrona!
Uzdrawiający warg twych napój,
Święte chleby piersi i łona.

Błogosławiona i bezcenna,
W krwi mojej i ciele obecna,
Jak głód mój nieśmiertelna,
Jak moje łaknienie wieczna.

* * *

Najdłuższa z wszystkich dróg —
Droga, którą przychodzisz.
Największa z wszystkich tajemnic —
Twarzy twej tajemnica.

Na jeden dzień się żegnamy,
Jakbyśmy żegnali na wieki.
I oczy każdego człowieka
W mym sercu twój ślad pogłębiają.

* * *

Kiedy do ciebie przylecę,
Wszystko wokół rozbłyśnie w słonku
Jak po ciepłym deszczu, gdy świeci
W ciężkiej rosie zielona łąka.

Na oczy ciężkie od winy
Położysz mi swoje dłonie —
Zobaczę rysy matczyne
Przez palce prześwietlone.

Dzieciństwo i ty. Jakby wszystko.
Tak odległe. Pod ręką prawie.
Przyniesie mnie do ciebie z listków
Papieru zrobiony latawiec.

* * *

Zobaczyłem cię dzisiaj
Wśród dziewcząt z piątej klasy.
Jesteś taka jak one:
Cieniusieńkie ździebełko,
Wokół którego skakanka
Furkocze niby śmigło.

Zobaczyłem cię dzisiaj
Wśród grona młodych kobiet.
Jesteś taka jak one:
Piegi na białym czole,
Wokół którego jaśnieje
Złoty nimb macierzyństwa.

Zobaczyłem cię dzisiaj
Pośród babć siwookich.
Jesteś taka jak one:
Przejrzysty plaster z miodem,
Wokół którego latają
Wspomnienia niby pszczoły.

* * *

Dzwoni gwiazdami niebo czyste,
Błękitnie lodem trakt się płoni.
A moja dusza jak bezlistne
Drzewo na pustym polu stoi.
Gdy wreszcie lepsza przyszła dola,
Wiosenną tęskność obudziła,
Ma dusza zaraz jak topola
Na śniegu się zazieleniła.
Gdy pełna twórczej mocy miłość
Rzucając ciepła garść nadeszła,
Nad śniegiem białym się okryła
Kwiatem ma dusza jak czereśnia.
Gdy przyjaźń przyszła i jaśniała
Przez lata żywa i zwycięska,
Wśród śniegu dusza moja stała
Jak jabłoń od owoców ciężka.

* * *

Śpisz i na twojej twarzy
Maluje się obraz smutku...
Jakie straszne nieszczęście
Oglądasz zamglonym wzrokiem?
Może znowu przed tobą
Łan ukraiński się pali,
Czołgi z czarnymi krzyżami
Gonią cię malusieńką
Jak ten motylek, co wkrótce
W płomieniach podpalonej
Pszenicy zginie? A może
Widzisz, jak na bykowcu
Bandyci banderowscy
Starego twego sąsiada
Wloką, wieszają na gruszy
Za to, że do kołchozu
Zapisał się pierwszy? Może
Na chleb wymieniasz u ludzi
Chustkę babciną — twój cały
Majątek? Nie wiem. Z głębi
Twej jaźni przenieść w siebie
Te senne obrazy to jakby
Podwodną łódź przerzucić
Z morza do morza! Czemuż
Jesteśmy odrębni?! W smutku
Śpisz niezgłębionym, moja,
Zarazem nie moja. Tylko
Uśmiech, kiedy się budzisz,

Odnawia więź między nami,
On tylko duszę odsłania,
Przykrytą biedy głazem,
Zamkniętą na zamki nieszczęść.
Więc zimno mi i w piersi
Coś nienawistnie wybucha,
Jakbym w strasznego snu cieniu,
Na szarej ziemi dzieciństwa
Spał nazbyt długo i wyziębł.

* * *

Bywają takie rozmowy,
Co niby winda więzną.
Zaćmienie umysłowe,
Twarda jak skała ciemność.

Bywają takie milczenia
Nagłe i straszne, gdy czujesz,
Że tylko wybuch płaczu
Od śmierci cię ratuje.

Bywają takie chwile,
Gdy jeden uśmiech warg lubych
Przywraca rozsądek życiu,
Który się wcześniej zagubił.

* * *

Ty — jak deszcz. Ja — niczym jawor.
Ciągle w swoją koronę cię łowię.
Lecz twe krople, niby sen przez jawę,
Przelatują przez moje listowie.

By me listki jak świece twoim
Blaskiem mogły we mgle się mienić,
Dwukrotnie powinnaś przychodzić:
Najpierw — z nieba, a potem — z ziemi.

* * *

Pod półsennymi powiekami
Słońca młode zastygły promienie.
Jak słonecznik pokryty pszczołami
Brzęczy ono, złociście się mieni.

Pomiędzy jawą i marzeniem
Sennym w łzie mojej ty też stoisz,
A ponad twoją głową wieniec
Poranków słońcem rozzłoconych.

* * *

Poziomkami płonie polana
Jak zapaska. Brzęczy dokoła
I tak lata jakby pijana
Od zapachu i ciepła pszczoła.

Za zielone się skrywszy gałęzie
Czekam na swoją dziewczynę.
Już nadchodzi, już serce ze mnie
Tak wyjmuje jak z gniazda ptaszynę.

* * *

Rozgwieżdżona i smagła twoja dusza
— Noc, co sweter zamieci zrzuciła.
Jak w wigilię siano spod obrusa
Łąką pachną twoje włosy, miła.

Z nieba tyś w moje progi przyleciała,
Oczy zakryła mi radość niema,
Żeby blask twego świetlistego ciała
Mego grzesznego nie spalił spojrzenia.

* * *

Niby powietrze mroźne
Coś we mnie drży błękitne,
Jak ostrze noża chłodne,
Jak chwila niepochwytne.

Oto się tobą cała
Ma dusza wypełniła.
O śmierci rozmyślałaś,
Gdy do mnie się tuliłaś.

* * *

Wszystkie izby jabłek dorodnych
Pełne, nogą nie staniesz na ziemi.
To naszego kochania oddech
Jabłonie tak rozpłomienił.

Namiętność młodą i żądzę
Myśmy drzewom tym przekazali,
Gdyśmy maja trawieni ogniem
Pośród sadu się twego kochali.

Jak poziomka gwiazda spada znowu,
Chodź, gdzie blade zieleni się zboże —
Niech zatopi ziemię jałową
Pszenica złocistym morzem.

* * *

Zjawił się w mej pamięci pewien górski stóg siana.
Księżyca w nowiu na nim srebrny pył osiadał,
Jak zwierzę tam leżałem okryty nocy cieniem
I gwiazdy spadające łowiłem swym spojrzeniem.
Czekałem, kiedy przyjdzie ta kózka skubać siano,
A ona każdej nocy zjawiała się tak samo,
Drżąc jak gwiazda, co wpadła w lasu sieć splątaną!
Różowa i zlękniona... Ja patrzyłem na nią...
Tak chciałbym się raz jeszcze znaleźć na tym stogu
I ciebie się doczekać, usłyszeć, jak z trwogą
Zakochana nadchodzisz, serdak zrzucasz z siebie,
Drżąca niby ta sarna lub gwiazda na niebie...

* * *

Majaczy z daleka jak śnieg
Czerwcowej nocy błękit czysty.
Z ogniska niebieski świerk
Wyrasta i szumi strzelisty.

Na srebrze pachnącego siana
Pieszczoty cierpka czarka. Dziko
Błysnęły w mroku kolana
Niby źrenice drapieżnika.

Kapelusz spadł z wysokości,
Jakby gwiazda z nieba spadała.
Oto siwieje łza miłości,
Niby ta grań, co spopielała.

Cały księżyc objadają konie
Jak snop owsa, łby im się chwieją.
I dawnym smutkiem ozłocone
Niebiosa łabędzieją.

* * *

Gdzie twoje skrzydła, dziewczyno miła?
Wiosna już blaskiem niebo rozjaśniła,
Trzeba, maleńka, w pszenicy przecież
Gniazdeczka szukać, pora nam już lecieć!

W kłoseczkach będzie jak gdyby w słoneczku,
Będzie się huśtać jak ma kołyseczka,
A ja nad tobą zawisnę w błękicie
I piosnkę dźwięczną zaśpiewam w zachwycie.

I wszystkie spodki, śmigłowce nade mną,
I samoloty wszyściutkie się zbiegną.
— Słuchajcie — rzekną, jakby były niczym —
Jak żuraw śpiewa swojej żurawicy!

* * *

Do morza nocą wchodziłaś —
Pod wilczym księżyca okiem.
I morze stawało się drzewem,
A ty — zakazanym owocem.

Rozkołysaną twą falę
Tuliłem do siebie jak gałąź.
Zasłaniałaś się niby liśćmi
Pianą złociście rozbryzganą.

Lecz morze jak mądra jabłoń
Ku ziemi się pochyliło
I na kamiennym lądzie
Ciebie koło mnie złożyło.

Długo zwieszało nad nami
Szumiącą, ciemną koronę.
Skrywały nasz pocałunek
Płatki przejrzyste i słone.

* * *

Zrzuć z siebie ubranie,
Wstąp
W strumień rąk moich —
Już lato,
Od źródła aż do morza
Rzeka omdlewa, a nad nią
Słoneczna zamieć szumi.

* * *

Biała nad wsią czereśnia
Po nieba płynie toni
Jak łabędź, który we śnie
Pod skrzydło głowę schronił.

Tam, gdzie szemrzący jęczmień,
Dziewczyna na mnie czeka,
Rumiankiem do mnie wdzięcznie
Powiewa już z daleka.

O dniach, gdy ludźmi będziemy,
O dniach marzymy przed nami.
Nagle czereśnia — czujemy —
Załopotała skrzydłami.

* * *

Dziewczęcych dziewiczych linii
Samolot i łuk dopełnieniem.
Ona przyszła jesienią, dziwne,
Czarodziejskie niosąc cierpienie.

Na piersiach, na szczupłym łonie
Rozpina bez słowa sukienkę.
I leży jak kula na dłoni
Przerażająca w swym pięknie

* * *

Tak mi się śniłaś zawrotnie:
Nie ręce, nie oczy, lecz słowa;
Sam głos tylko, niby dzień w oknie,
Niby wiatru nagiego powab.

Do gwiazdy w błękitnej muszli
Nieba podobna jaśniałaś.
Wynurzały się, lśniąc jak bursztyn,
Sploty twojego ciała.

Wynurzały i w okamgnieniu
Znikały w fali złocistej.
Serce chciałem obmyć w tym strumieniu,
W owej fali jak źródło czystej.

Raptem — grom przebudzenia;
Gdzieżeś podziała się, nocy?
Motylek w moim sercu
Wilgotnym skrzydełkiem trzepoce.

* * *

Twe przeciwieństwo — piasek,
Pustynia bezpłodna i marna.
Ty rodzisz kłosek o czasie,
Jak niwa, z mojego ziarna.

Ty sama go pielęgnujesz.
Umysł, w którym potęga drzemie,
I dar mowy ofiarowujesz,
Ciała i doli ziemskiej brzemię.

Jak woda błyszczysz i płyniesz
W rzek korytach, w śladach po podkowach.
Jak oaza pośród pustyni
Zawsze bym ciebie malował.

* * *

Staliśmy pośród tłumu. Nie wiem, jak się stało,
Że ludzie nas rozdzielili. Za rękę mocno
Trzymałem ciebie, jednak twarzy nie widziałem.
Krzyk nagle usłyszawszy, dłoń twoją puściłem:
Może z bólu krzyknęłaś? Daremnie się starałem
Odnaleźć cię w tym ścisku. A ludzie zaczęli
Spoglądać na mnie krzywo, za ręce ich bowiem
Łapałem. Ale ciebie nie było, przepadłaś.
Wreszcie ktoś mnie za łokieć mocno schwycił. —
Złodziej,
Patrzcie, złodziej tu rządzi! — zaryczał. Przestałem
Ciebie szukać. Do oczu łzy mi napłynęły,
Takie śmieszne w dniu tego radosnego święta.

* * *

Kiedy wiersze mi nie pomogą,
Żaden lekarz też nie pomoże.
Proroczych snów samotną drogą
Między gwiazdy pójdę i zorze.

Krokiem cienia wtedy przyjdź, kochanie,
Lecz niech serca twego żal nie nęka,
Że swe życie Ojcowiźnie dałem,
A dla ciebie — z grobu trawy kępka.

Wiem, najmilsza, to niesprawiedliwe,
Lecz czy inny wybór byłby lżejszy?
Wszak ta trawa nie mniejszym jest dziwem
Niż dziewanna mych dni najpiękniejszych.

* * *

Będę na świecie,
Pokąd nieznane światło
Na twarzy twojej świeci.

Żyć będę dotąd,
Dopóki płonąć będzie
Dłoni twej dotyk.

* * *

Tak, ma miłości, ty jedynie
Dajesz mi odnowienia siłę,
Codziennie stwarzasz mnie innego,
Tak jakbyś z dna kamienistego
Mej duszy dobywała nowe
Kamee z mym obliczem... Możesz
Zgodnie z swą wolą mnie przemieniać,
Mój Boże, lecz się tylko nie waż
Zabawki z tego robić śmiesznej,
Co fałszem trąci. Zmieniać nie chciej
Tak jakby we śnie mej istoty,
Byś cudze dała mi przymioty!
Te przeświadczenia we mnie żyją,
Że ptak nie może stać się żmiją,
Że każdą maskę tylko lokaj
Przyjmuje bez zmrużenia oka!
A ja nie rab, nie chytry służka,
Co ma naturę jak poduszka
Podatną, miękką! Raczej kamień
Stosownym dla mnie porównaniem.
Niech cud przemiany mnie ogarnie,
Ale prawdziwie i poważnie,
By duch mój nie utracił wzroku
Ani nie ogłuchł w cudzym oku.

* * *

W ulewie biegnie pod strugami,
Przez ciemne śmiało biegnie chaszcze;
Deszcz się przegina i skrzydłami
Nad jej złocistym grzbietem klaszcze.

Niby czerwona błyskawica
Mknie przez gałęzi półmrok gęsty.
A woda niby czaprak zwisa
I tłucze o jej brzuch ściśnięty.

Grzmią gromy w skałach jak kamienie,
Jakby się nieba zatrząsł orzech:
Nad nóg i oczu przerażeniem
Płomienna grzywa jak proporzec.

Chmury muśnięcie z siebie strząsa,
Jakby tych kropel znieść nie mogła;
A jak wytrzymać ma piekący
Niemiłosierny łoskot siodła?!

Jak znosić ma żelazną łaskę
Rozrywających pysk wędzideł
I uzdę, uległości maskę,
I cugli pęta obelżywe?

Jak potem się ukorzyć może
Ta dusza śmiała i rogata
Przed butem, posłuch dać ostrodze
I słuchać błyskawicy bata?!

To ja tak pytam — namoknięte
Rzemienie kryjąc za plecami,
Zaś na swej dłoni wyciągniętej
Podaję biały cukru kamyk.

O, nie, już cofnąć się nie mogę
I mówię „Proszę, weź!" nieśmiały,
Wszak moja jest ta cienkonoga
Klacz, co ma skrzydła jak śnieg białe.

* * *

Pachniesz jak liście wiosenne,
Jak dzieciństwo moje płócienne,
Jak ciepła ścieżka wśród malin,
Jak srebrne kolczyki mamy.

Pachniesz jak płomień żywiczny,
Jak dzwonek miodunki śliczny,
Jak ul, co słońce chowa co dnia,
Jak snów mamy maleńka brodnia.

Pachniesz jak morze wprost ze snu,
Jak uśmiech kobiety w nieszczęściu,
Jak pyłek nad pszennym łanem,
Jak mamy ręce kochane.

Pachniesz jak rosy na życie,
Jak stoły obrusem nakryte,
Jak śpiewna strużka jodłowa,
Jak mamy łagodna mowa.

* * *

Morza tkała się tkanina,
Jego jedwab ścielił brzeg,
A po morzu szła dziewczyna
Naga, czysta, niby chleb.

Morze skrzydła wzniosło nagle,
Jak ptak odleciało w noc.
W całowanych odnalazłem
Ustach smutku całą moc.

Spadło w skały najeżone —
Krzyk Ikara, piana piór.
Jak dwie gwiazdy zasmucone
Tuliliśmy się wśród chmur.

Rankiem morze zaszumiało,
Las jesienny szumi tak.
Niby chleb, dziewczęce ciało
Łez i słońca miało smak.

* * *

Dziewczynko moja miła,
Brwi swojej błyskawicą
Me serce oślepiłaś.

Spójrz, czarodziejko, tutaj —
Me serce przewodnika
Jak niewidomy szuka.

Na pasach przejścia może
Dłoń dasz mu delikatną
I lekką niby powiew.

Dotąd życia, dopokąd
Będziesz je prowadziła —
Choćby pięć tylko kroków!

* * *

Jaka łagodna wydaje się chwila
Po bólu, który — okrutna — zadałaś...
Wszystko ci wolno, ja wszystko wytrzymam
Nie bój się serca bolącego łamać.

Rwane po kęsie tak będzie smakować,
Jak chleb jedzony w głodzie albo złości;
Jak do pokoju w me piersi się wprowadź
I rób, co zechcesz, gdy się w nich rozgościsz.

Jak w lesie rozpal na podłodze ogień,
Raj upragniony niech w pożarze sczeźnie,
Jak ziarnko z pestki niech twe ręce sobie
Duszę rozbitą wydłubują ze mnie.

Ja się odrodzę, odżyję, kochana,
Choć stokroć spłonę w rąk twoich płomieniach.
Błogosławiona ta najgłębsza rana,
Która powoli w gwiazdę się zamienia.

* * *

Biegłem ścieżkami, a noc jasna była.
Darń kamienista me stopy paliła.

Upadła gwiazda na ścieżynki kręte,
Niby motyla, chwyciłem ją w rękę.

Pod samo okno przyniosłem ci w dłoni
Gwiazdę, co była niby mak czerwony.

Lecz ty nie wyszłaś, przez okno spojrzałaś
I żebym odszedł — tylko znak mi dałaś.

Pomknąłem znowu swoją drogą ciemną,
Płakałem teraz cicho przez noc biegnąc.

Ściskałem w ręce jak rozbite szkiełko
Tej martwej gwiazdy nieżywe skrzydełko.

Dłoń otworzyłem — a noc jasna była.
Jak mak czerwony moja dłoń krwawiła.

* * *

Stęskniłem się za tobą, miła,
I ta tęsknota mimo woli
W samotny jawor mnie zmieniła,
Co pośród obcych buków stoi.

Wiosenne słonko listki liczy,
A w duszy smutek — jak niebiosa
Ogromny rośnie, jaworzycy
Śpiewa, aż płonie od łez rosa.

Kłującym szronem dmie śnieżyca,
Zima po górach huczy chłodem,
Zaś jaworowi jaworzyca
Śni się i jej kochanie młode.

Nie wie, że ludzie przyjdą jutro,
Zmierzą, do ścięcia się sposobiąc,
I jego pierś rozetną smutną,
I skrzypce z jego biedy zrobią.

* * *

Nie pamiętam, kto mnie orłem zrobił,
Kto dziób ciężki jak łom dał i szpony,
Kto mi kazał w ciemną przepaść lecieć,
W otchłań pełną jęków i złorzeczeń...
Jak Prometej przykutą do skały
Zobaczyłem kobietę w mgłach białych.
Zadudniło w kamiennej pustyni:
„Pofruń do niej i serce jej wyrwij!"
I pojąłem: mnie wybrano właśnie,
Bym dokonał zemsty takiej strasznej.
Ledwie rozkaz ucichł wśród urwiska,
Podfrunąłem do kobiety blisko —
Naga była, zdarto z niej ubranie,
Tylko ciężki łańcuch wisiał na niej,
W pierwszej chwili pomyślałem sobie,
Że to rzeźba z lodu, a nie człowiek.
Tak patrzyła, jakby źrenic siny
Strach jej wichry na lód zamroziły,
Jednak w jękach słowa rozpoznałem —
— Ona żyje, żyje! — pomyślałem.
O, ten, który tam grzmiał w górze, który
Dziób mi mocny dał i dał pazury,
Choć swą żądzę i moc włożył całą,
Ludzkie serce w piersi mej zostało.
Swoim skrzydłem wnet ją otuliłem,
Łańcuch odpadł straciwszy złą siłę,
Śnieg z jej twarzy spłynął roztajały
I kochaną swą w niej rozpoznałem...

Krzyk rozpaczy mnie obudził własny,
Kamień z serca spadł, zniknął sen straszny,
A ta, która mi się śniła, obok
Spała cicho z poduszką pod głową.
Śnie mój, świecisz przez epoki całe,
Moje myśli i sumienie palisz;
Leżąc cicho chwalę dzień bezgłośnie,
Co obwieszcza jak trąba donośnie
Nowe troski i zdejmuje z ramion
Brzemię przewin, nocy ciężkie wiano.

* * *

Napadłem na ciebie nagle
Na ścieżce pośrodku stepu,
Spadłem jak deszcz kroplisty,
Niby gwałtowa ulewa,
Lipcowy wędrowny grajek,
W iluminacji błyskawic,
Miłości deszcz rozśpiewany.

Rzuciłaś się do ucieczki,
Ja wokół ciebie tańczyłem
Niby natchniony szaleniec,
Pewny, że się już nigdzie
Przede mną schować nie zdołasz;
Na stu fujarkach naraz
Zagrałem, by cię przywabić,
Odurzyć dźwiękami burzy;
A potem wziąłem cymbały,
Na sztorc je postawiłem,
W niebo się piąłem po strunach —
Powoli cię czarowałem
Szatańskim swoim tańcem.

Biegłaś, patrzyłaś z przestrachem
Na szczere pole dokoła:
Nie ma schronienia przed gromem,
Przed deszczem i przed miłością.
Ty krople jak moje dłonie
Bezwstydne i pożądliwe

Rękami odtrącałaś,
Lecz miałem rąk bez liku,
Które chwytały ciebie,
Ściskały delikatnie
I napełniały powoli
Nieutulone twe ciało
Pieśniami z otchłani świata,
Jak woda ziemię napełnia.

Gdyś już przemokła do nitki,
Wolniej przez chwilę biegłaś,
Stanęłaś i się zaśmiałaś,
Ręce podniosłaś do nieba,
Jakbyś prosiła o więcej
Potoków rwącego światła
I spod błękitu muzyki.

Przywarłaś do mnie w tańcu —
Tak mocno, że aż guziki
Od twej błękitnej sukienki
Odprysły i zaświeciły
Nad stepem niby rakiety,
Co obwieszczają natarcie.
Zrzuciłaś z siebie okrycie
I resztę niepotrzebną
W tańcu z deszczem lipcowym.
Ja byłem twoją jedwabną
Bielizną i koralami,
Ja kroplami diamentów
Świeciłem w ciemnych splotach,
W pierścieniach twoich włosów,
Jak srebrny łańcuch spływałem
Strumykiem między piersiami.

Wtem — tęcza stanęła na polu
I ty odeszłaś pod sine
Sklepienie nieba, jak słońce,
Swym blaskiem oślepiona;
A ja pijany szedłem
W dal zacienioną chmurami
Nie deszcz już, ale chłopiec
I zapach twego ciała
Jak wodę w garści niosłem.

* * *

Akacje. Pszczele dzwony.
Pszenicy łany falujące.
I maków płótno czerwone,
Delikatne jak szczęście i rwące.

Gniazdo w kłosach niby kołyska,
Oczu twoich kuszące lęki;
Jak szczyt bladego obelisku
Samolot wetknięty w błękit.

Pocałunki zachłanne i ciche,
Plew słonecznych sypiąca się łuska,
Jak ślad palmy na antracycie
Na twoich plecach ślad kłoska.

* * *

Powietrze nocne do rana
Z nieba spływając błyszczało.
Radościami kochania
Świeciło twoje ciało.

Miesiąc niby membrana
Twojej duszy złocistej
Lśnił, a twe czarne włosy
Zapachem igliwia kwitły.

Nie rozumiejąc znaków,
Które nam gwiazdy dawały,
W warkoczy twych ciemnej ciszy
Ze szczęścia rzewnie płakałem.

* * *

Za wiewiórką złocistą pędziłem
Świerków chwiejnymi czubkami,
Spadałem w igliwie przegniłe
Niby w ogień, co serce palił.

Przez jodły się przedzierałem,
Znów się piąłem ku szczytów granicy,
W krwi krzepnącej całe ciało miałem
Niby w kroplach czarnej żywicy.

I spadałem wciąż z wysokości,
Aby znów się poderwać raz jeszcze,
Nie wiedziałem, czy łamią się kości,
Czy to tylko wyschnięty chrust trzeszczy.

Czemu w puszczę czmyhała przede mną,
Jakby chciała ujść psom albo wilkom?
Przecież na tę wiewiórkę cholerną
Chciałem sobie popatrzeć tylko!

* * *

Dziewczyna w oknie stała
Machając ręką. Ruszył pociąg.
Jej twarz się łzami zalała.
Te łzy, ten niepokój mi po co?
Odprowadziłem dziewczynę
Wesołą; więc czemu teraz
Cudzy smutek nad moim życiem
Swe płótna rozpościera?!
Tamta radosna dlaczego
Zniknęła już z moich wspomnień,
A okna zapłakanego
Ciągle nie mogę zapomnieć?!
Czyja dusza niby sierota
Do obcych się tuli i garnie,
Czemu dotąd nie może opaść
Ta ręka w geście pożegnalnym?...

* * *

Staliśmy w ciemnej osłonie
Jak dwa drzewa o jednej gałęzi,
Na twym łonie drżały me dłonie
Jak ćmy, które lampa uwięzi.

Przyciągał mieszkańców mroku
Lampion słońca w ciele młodzieńczym
I płonęły motyle w amoku,
I spalone znowu blask nęcił.

Lecz się w popiół nie zmieniały wcale,
Oczyszczały je ogniste strugi —
Heretykiem się każdy mój palec
Stawał, chcąc iść na stos po raz drugi,

Gotów cierpieć w najstraszliwszej męce
Za to światło z ciemności płynące...
Nieśmiertelne stawały się ręce
Na pagórkach mety jaśniejącej.

Dal niebieską odsłaniał cichutko
Niepokalany grzech niezależności
Na tych ścieżkach biblijnego smutku,
Na tych drogach moich radości.

* * *

W mgle cieniusieńkiej deszcz się srebrzy
Jak nić w przejrzystej tkwiąc tkaninie.
Słońce na jego lśni krawędzi
I wprost do duszy mojej płynie.

O przyjdź! Tak mnie pragnienie pali
Błękitnych niczym sen przestrzeni.
Zatrzymaj spojrzeniem łaskawym
Moich oczu ciche cierpienie.

Nie zniewoli ciebie mój smutek,
Muśnie tylko radosnym dreszczem
Jak mgły srebrnej cały ten bukiet
Umajony i słońcem, i deszczem.

* * *

Rozplotły się, rozsypały, rozpadły
Jak warkocze wrześniowe dni.
Jeszcze kąpać się z tobą chciałbym,
A już jesień pod oknem brzmi.

Rzeka wzięła dobre gwiazdy, które
Całe lato spadały w głębinę,
Z ptakami na białej górze
Próbujemy gorzką jarzębinę.

Może by nam polecieć jak one,
Za latami młodości w wir runąć.
Czyżby nasze skrzydła pozłocone
Nie umiały ich śladem pofrunąć?

Ja ci zimowe dni srebrem tkane
W warkocz siwy splotę jak włosy;
Tylko gwiazdy, w szczęściu wykąpanej,
Nie odnajdę, z morza nie przyniosę.

* * *

Przytulę się do ciebie
Sercem i niebiosami,
Ramionami pagórków rodzinnych
I dróg pasami.

Przytulę się do ciebie
Myślą swoją i ziemią,
Chmurami iłu,
Mrokami czarnoziemu.

Przytulę się do ciebie
Pieśnią i jaworami,
Złotymi skrzydłami pszenicy,
Cienistymi jarami.

Przytulę się do ciebie
Oddechem lasu i polem,
Klekotem Dnieprobudowy,
Tarasa aureolą.

Przytulę się do ciebie
Srebrnymi rzęsami choiny,
Nieśmiertelnymi głosami
Mej nowej Ukrainy.

Przytulę się do ciebie
Światłem i dalą

Zórz purpurowych, co wiecznie
Nad moją głową się palą.

Poczujesz w moim ciele
Poza szumem świerku i ruty
To, co nigdy próchnem nie było
I nie może się w próchno obrócić.

* * *

Ożywasz we mnie
jak głos wiosny
w drzewie

nie mogę cię zapomnieć
jak drzewo nie może zapomnieć
okryć się liśćmi

kiedy odlatujesz
macham purpurowymi skrzydłami
aby wzleciały za tobą

ale korzeń mój silniejszy
niż moje skrzydła

wyrywają się
lecą za tobą
beze mnie

bolą mnie
rany miłości
rany niespełnionego lotu

lecz z nich wyrastają
nowe pędy
nowe odrośla

i głos wiosny
w moim sercu
głośniej dźwięczy

* * *

Wiatr twojego spojrzenia
podnosi moje serce z ziemi
jak klonowy listek
i już lecę nad światem
i łaskotliwie mi od lotu
lecz w koronkowy ranek
chmury jak pierze skrzydlatego morza
załamują się pode mną
i padam
padam
lecą na mnie płótna
kłujących ściernisk
lustra stawów
plecionki ścieżek
redyki jesiennego lasu
ostrza kolein
talerze stadionów
bryły budynków
i kraby dźwigów
gdzież białe dzwonnice piersi twoich
żebym mógł się rozbić łagodnie?

* * *

Przylatywałem do ciebie
jak pszczoła
do czereśni rozkwitłej
od blasku i zapachu
korony twojej
padałem wycieńczony
ślepłem z radości
kwitnącej przestrzeni
i trudno mi było
przelecieć z kwiatka na kwiatek
lecz jeszcze trudniej było
wiedzieć
że tyś bezmierna
otwarta dla mnie
dla innych pszczół
a także dla os
dla trzmieli
dla szerszeni
że nigdy nie poczujesz -
moich skrzydeł
wszystkimi swymi płatkami
że nigdy nie zdołam
zajrzeć w każdy twój kwiatek
bo wiosna krótka
a ty nieskończona jak wszechświat

* * *

Winien być zawsze wśród nas, kogo smuci
Ta nasza miłość. On lubi pić z nami.
Z zazdrości płonąc ukradkiem czasami
Dobrą do czarek nam truciznę wrzuci.

A my pijani jak biedni rekruci
Na kawałeczki miłość rozbijamy,
Jak kontynenty za chwilę składamy
Okruchy, całość im pragnąc przywrócić.

Jakież to szczęście — z płytek kaleczących
Niezwyciężoną znów formę budować,
Wtopione w błękit góry z sobą łączyć,

Na oceanie bezkresnym znajdować
Atol, co ranę na serca planecie
Zakrywa, boląc najsłodziej na świecie.

* * *

Tego nie widać z najwyższej wieży,
Tylko ze starego okopu
Lub z jamy pod garażem
Można zobaczyć, że niebiosa —
To cisza twojej duszy,
Rozebranej przez wiatry,
Najupragnieńsza cisza bytu!

* * *

Ścierń niby śnieg bielała
Przez księżyc oświetlona.
Cicha — już przebolała? —
Rzeka płynęła koło nas.

Gwiazda się z niebem rozstała,
W nadrzeczne spadła łozy.
Ziemię chęć ogarniała,
By się pod lemiesz położyć.

Noc nad polami stała
Smagła, niemalże złota.
W twych pocałunkach wracała
Matczynych ust pieszczota.

I uwierzyłem nawet,
Przegnawszy myśli ciemne,
Że gdy pod brzozą stałem,
Świat cały tchnęłaś we mnie,

Że w serce moje z gliny
Tyś światło wniosła jasne,
Jakbyś z krzaka kaliny
Wyczarowała mnie właśnie.

* * *

Twoich dłoni stateczek świetlisty
W kosmicznym niesie przestworzu
Tajemnicze ciało mej myśli
Jak blask żaglowca na morzu.

A na ziemi, jak nocy śmiech czysty,
Pożar w lesie rozjaśnił drzewa.
To dotyku twojego iskry
Wiatr z ciała mojego zwiewa.

* * *

Pachnie chlebem trawa,
Co mnie od dziecka myła,
Pachną chlebem słowa,
Których mnie matka uczyła.

Pachnie chlebem cierpka
Piosnka ojcowskiej stodoły,
Pachnie chlebem ręka,
Która mnie wiodła do szkoły.

Pachną chlebem łęgi,
Gdzie cię kochałem raz pierwszy,
Pachną chlebem twe zęby
I usta, dłonie i piersi.

Pachnie chlebem dziecina,
Która z miłości powstała.
Pachnie chlebem ziemia,
Co słońce i skrzydła mi dała.

* * *

Kiedy się zacznę spowiadać
Jedwabnym twoim rękom,
Nie licz, nie licz na radość
Niby dmuchawiec lekką.

By mnie do końca wysłuchać,
Musisz znaleźć w sobie dość siły:
Słowa moje niczym te słupy,
Opalone, żeby nie gniły.

Opalone, w ziemię głęboko
Zakopane, a nad nią w wietrze
Jak wolne szczygły, wysoko
Ostrza swoje wznoszą słoneczne.

Stoję, przewody trzymając
I może aż od Tarasa
Biegnie to światło maja,
Ta radość, co nie wygasa.

Bądź mi podporą, współ-czuciem,
Lecz nie w kamiennej pustyni,
Bądź jaskółką na drucie
Niezwyciężonej linii.

* * *

Nasza miłość
jak samolot
może unieść
ciężary ogromne
ostrożnie jej przekazane
na ziemi
tylko nie może
dotyku obcego skrzydła
ścierpieć w locie
niewzruszona
niezależna
wysoka
upaść
spłonąć
zaginąć
gotowa momentalnie
kocha niebiosa
lecz wciąż powraca
na ziemię
i za każdym razem
skrzydła drżą z bólu
iskra wlatuje w beton
jakby ziemia przyjmowała
na krótki odpoczynek tę siłę
która grzmi w naszej krwi

* * *

Ja — ziarenko, ty — gwiazda. Jesienią
W poluśmy się na wieki złączyli.
Pielęgnuję w mroku ślepej gliny
Światło twoje w promyku nasienia.

Na przedwiośniu wbrew sile ciążenia
Przeprowadzisz kiełek przez lęk zimy.
I już kłosek skrzydłami ostrymi
Dokonuje światła podniesienia.

Ty byś chciała powrócić w niebiosa,
Mnie nie puszcza rodzinna niwa,
Kajdanami u nóg dzwoni rosa.

Zastygliśmy we wzlotu porywach,
Nie ziarenko, gwiazda — dusza właśnie,
Która w niebie ni w ziemi nie gaśnię.

* * *

Noc, oświetlona kwiatem jabłoni,
Zamgliła się jak rosa.
My rozskrzydleni i rozjarzeni
Wzbiliśmy się w niebiosa.

Ponad zorzami, ponad wodami
Trzy przelecieliśmy światy,
A wciąż jabłoni gdzieś za miastami
W mroku świeciły kwiaty.

Gdyśmy przed świtem dolatywali
Do wioski swej powoli,
Już ta jabłonka znikała w dali
Jak zamieć pośród dolin.

Gdzie światło, które wśród śmiechu mknęło,
Gdzie całowane w snach słowa?
Wszystko minęło, wszystko zginęło
Jak ta gałązka śniegowa.

* * *

Nad naszym światem i pod naszym światem
Są jeszcze światy wielkie i maleńkie.
Tam docieramy jedynie światłem
I ciemnej ziemi muzycznym dźwiękiem.

Tam mnie przyzywa ktoś niestrudzenie
I szlak bolesny błękitem mi ścieli;
Jak gdyby pragnął mej duszy tchnienie
W swe tajemnicze światło zamienić.

Między gwiazdami tam wiola się mieni,
Ten lniany warkocz — niwa rozświetlona.
Krew moja szemrze, naga wśród płomieni —
Jak niebios struna nazbyt oddalona.

I może wszystko, co pamiętać trzeba
Wciąż mojej duszy w bólu i w radości,
To tylko mapa gwiaździstego nieba
I — z oczu twoich! — zew nieskończoności.

* * *

W środku nocy deszcz przyszedł,
Jak zboże zaszumiał w polach.
Wbiegliśmy pod jego okrycie
Spod topoli albo jawora.

Ubrania zmył z ciebie i ze mnie,
Jak rzeźbiarz zdjął glinę z ciała.
Czego w słońcu szukać daremnie,
On od razu na oślep znalazł.

Łaskotał jak kłosy drżące,
Po ramionach łagodnie spływał,
Dusz naszych listki błyszczące
Kojącym ciepłem obmywał.

Piersi się w piersi wtulały,
Pluskała woda między nimi.
Ryby w tej wodzie pływały,
Płetwami lśniąc ognistymi.

Latał nad nami nietoperz
Błyskawic jak iskier garstka.
I lęk twój dziewczęcy tej nocy
Raz pierwszy szczęściem zajaśniał.

* * *

O, zasnąć, zasnąć na chwileczkę bodaj,
By mi siwiznę gwiazdy tkać przestały,
By przez twe palce sny me przeciekały,
Szemrząc cichutko jak piasek lub woda.

Pod złotym skrzydłem twojego warkocza
Tak zasnąć, by się już nie pojawiały
Czołgi z krzyżami, co wsie tratowały
I dotąd suną ze chrzęstem po nocach.

Tak zasnąć, żeby nie odczuwać świata
Podziemnych wstrząsów, zwątpienia i męki,
Jaka pulsuje w akordzie piosenki
Rąk odrąbanych na strunach przez kata.

Tak zasnąć koło twojego ramienia,
Twej ręki lekkiej, dziewczęco nieśmiałej,
Ażeby cicho jak lewkonie białe
Świeciły we śnie lądy i marzenia.

A gdy falują, w taki oto sposób
Zasnąć naprawdę, snem zasnąć z kamienia
I wtedy właśnie jak na zew sumienia
Na szept twojego obudzić się głosu.

* * *

Gdyby tak do mnie mogła przyjść w tej chwili właśnie
Tamta moja dziewczyna, co w błękicie jasnym
Jak strumyczek wesoła kiedyś przybiegała
I w rzekę moich marzeń wlewała się cała,
Rozświetlając je wszystkie niepokalanością
Aż do dna samego, gdyby dziecięcością
Swą świętą tak jak kiedyś zalała mnie znowu,
Zgasiłbym w sobie zaraz wzburzoną krew gromów.
Żar buntów i tęsknotę swą za ideałem,
Napięcie nienawiści i poświęceń zgagę,
I smutek obowiązku, pogardę dla raba
Stłumiłbym w sobie. Znów by błękitna się stała
Ma dusza niby woda błękitna i czysta. —
Lecz już nie wróci do mnie ma miłość przejrzysta.
Dobrze, że nikt nie wraca, nie wraca na pewno
I że na jedno życie miłość dano jedną.
A w tamte dni odległe — pamiętam te chwile! —
Ona mi raj przyniosła — w piekło raj zmieniłem,
Z jej niewinności dumę wykuwałem swoją,
Z jej łagodności miecz ten, co ostrzy się w boju,
Westchnienia jej dziewicze na gromy zmieniałem
I w czoła zbyt pokorne jak gwoździe wbijałem,
Jej plany przetopiłem na dzwon dobra, który
Miał głośno wołać „hańba" albo krzyczeć „hurra";
Z radosnej jej szczerości wziąłem siłę gniewu,
Cieniem światła się stałem, prawym dłoń dał lewą,
Kochając tę dziewczynę cały świat kochałem
I siebie sam stworzyłem z jej dziecięcych marzeń,

I dobrze, że już ona nie wróci, by własnym
Światłem ciemność mych uczuć raz jeszcze rozjaśnić,
W walce zahartowane płonące jestestwo,
W którym duch życia święci swe trudne zwycięstwo.

1977

z tomu

SPIRALA

Świerki

Siekiera ojca tkwi w pniaku, wbita
Aż po sam brzusiec —
Świerki zdyszane pierzchają w strachu,
Chcą w górę uciec.

Piła wygina się i napręża,
Ryba zębata.
— No, wskazuj drzewo, które zrąbiemy! —
Powiada tata.

A ja wybieram, jak po jarmarku
Oczami biegam.
Zda się ładniejszy mi taki świerczek,
Który nie z brzega.

— Ten najsmuklejszy! — Nie, mój chłopczyku,
Szkoda go chyba!
— No to ten ładny, w igliwiu srebrnym,
Co lśni jak ryba!

— Żal go! — Więc może ten osmalony,
Omszały spodem!
— Ej, nie, niebożę, zrobilibyśmy
Tym wielką szkodę!

— No to ten czarny, powykręcany,
W smole jak dratwa!
— I tego szkoda! Trochę podrośnie
I będzie tratwa.

— A ten, co niby świeczka skrzywiona,
Jak w parastasie?
— Ej, nie! I on się też wyprostuje
O swoim czasie.

Tak chodziliśmy między świerkami,
Śmieszni złodzieje.
— W domu się jeszcze zastanowimy,
Wrócim w niedzielę!...

Przeszło czterdzieści lat. Posłuchajcie —
Szumi żywica
I słońce śpiewa niby dziewica,
Wietrzyk figluje.

Czemu tak smutno jest mi we wszystkich
Krainach świata?
Wysokie świerki stoją, pytają:
A gdzie twój tata?

Babcia z kwiatami

Babcia z kwiatami
Przy przejściu stoi.
Też bym kupił kwiatek,
Lecz podejść się boję.
Trzy złociste lilie
Jak świece w jej dłoni.
Podobna ta babcia
Jest do matki mojej.
Jak z zaświatów przyszła
Smutna i zmarniała.
Jasne miała włosy,
A biała jest, biała.
Jej strudzone czoło
Świeci blaskiem lilii,
Chociaż na mnie patrzy,
Jednak mnie nie widzi.
Zapytać jej pragnę
(To na pewno ona!):
Jak się stało, mamo,
Żeś tak opuszczona?
I nie mogę odejść,
I spytać nie mogę,
Gdzie dzieci twe, mamo,
Gdzie łotry rodzone?
Serce się dopala,
Płoną lilie-świece.
Gdzieś w pobliżu czeka
Na utarg syneczek.

Linijka wiersza

Przypomniałem sobie linijkę wiersza,
Który niegdyś w szkole napisałem;
Zagubiona w pamięci odezwała się
Raptem, jak odłamek, który frontowy
Żołnierz latami nosił w ciele.
Dawno zapomniany wybuch wzruszenia
Żył we mnie w tym odprysku i teraz
Znienacka ukłuł. Nie, nie ginie
Lat dziecięcych czystość i pragnienie!
Naiwna i niemądra ta linijeczka,
Teraz takiej zapewne nie napiszę,
Ale jak tamten, który dawne bóle
Przypominając sobie cieszy się życiem
I dumny jest z tego, że ani razu
Nie złamał bojowego szyku,
Tak i ja cieszę się, że mnie boli
To samo właśnie, co w maleńkości bolało,
Że nie wstydzę się swojej linijki,
Naiwnej i niemądrej, ale
Prawdziwej jak dusza dziecka.

* * *

Pragnący tylko przepychu i sławy,
Znający tylko samolubstwa mowę,
Obróciłeś się wreszcie, kiedy nie wiem nawet,
W posąg z marmuru,
we własny nagrobek.

Jak bruk twe serce pośród szpalt stwardniało —
Ktoś tam anteny wystawia daremnie —
Nie śle już bólu żadnego sygnału
Jestestwo twoje zimne i kamienne.

Umarłeś. Kurze z marmuru zdmuchuję,
Przynoszę kwiaty i stoję w milczeniu.
Bywa, że czasem z mogił druhów czuję
Ból, który z sobą zabrali pod ziemię.

Czyż to możliwe, byś bardziej niż oni,
Bardziej był martwy niż prochy tych ludzi?
Zamilcz!
Cierpiących dobra sława broni,
Teraz i w latach, które przyszłość zbudzi.

Czemu tak płonę z twojego powodu,
Czemu przebaczyć za nic się nie godzę
Śmierci przedwczesnej, tych wysokich schodów
Słabości twojej i w twoją cześć godzę?

Bo cię kochałem! Teraz kocham dalej
Swoją zdeptaną i przywiędłą miłość.
Wciąż niezagasły — choć tęczuje żalem —
Blask ideału, w który się wierzyło.

To tylko rana, jak gdyby cierń szklany
Dostał się do krwi — kruszy się i piecze.
Żywica płynie ze świerkowej rany,
Ale do końca nigdy nie wyciecze.

* * *

Nie pamiętam kiedy żyłem
Może wtedy kiedy ojciec chodził za pługiem
A ja prowadziłem konie
I wyciągałem bose nogi spod ślepych kopyt
A może wtedy
Gdy na lwowskim trotuarze
Zapaliłem się od własnego wiersza
I gorącym popiołem rozsypałem pa śladach Franki
A może było to wczoraj
Kiedy wstąpiłem w wody Dniepru
Plunąłem na księcia który stał na brzegu
I objąwszy strąconego z góry
Swego boga Peruna
Popłynąłem ku nieznanemu morzu.

Gogol tańczy w Rzymie

> ...Ledwie skręciliśmy w lewo w głuchy zaułek za Pałacem Barberinich, zaczął śpiewać pijacką małoruską pieśń, a w końcu puścił się w pląs...
>
> P. W. Annienkow: *N. W. Gogol w Rzymie latem 1841 roku*

Dźwięki się z Piazza Barberini niosą,
A dusza kipi, wylewa się przez wierzch...
Ze śnieżnobiałych marmurów się wznosząc,
Cienie jak siostry lękliwe go proszą:
Ach, nie tańcz tak, zatańczysz się na śmierć!

A on kamienie ciosa obcasami,
Wirując buczy jak podchmielony bąk.
I milknie fontann szum ponad wiekami,
Smutnych się świątyń rozstępują bramy
Od obłąkanych wymachiwań rąk.

Bóg tańczy, grzechem się swoim weseli,
Tańczy natchniony demiurg, dziwny człek.
Kardynałowie biegną ze swych celi
I z Palatynu Marek Aureli
Zaciekawiony też popatrzeć zbiegł.

Daleko gdzieś, na Ukrainie, w domu
Bezbożny z karczmy wytacza się tłum
I tańczy tłuszcza obdarta i chroma;
Wspaniały Rzym (maximum rerum Roma)
Połtawski hopak wyrywa ze snu.

A może to szaleje duch Ostapa
W tej czarnej ciżbie, wśród księżowskich szat?
Do najwyższego może to satrapy,
Inkwizytora, który zwie się papież,
W płomieniach ognia tańcząc Taras gna?

To tańczy Gogol! Czujesz, Rzymie, czujesz?
Nie boję się twych kazamatów już!
Już mnie nie spalisz, już mnie nie zlinczujesz
I nie okradniesz, i nie przetańcujesz,
Choć sam powiększę grono martwych dusz!

Nic to! O Rzymie nie myśli Mikołaj
Wasylewicz. Jaki, do czarta, Rzym!
To Ruś go pali, Ruś płomiennoczoła,
Błyszcząca, w strupach, moc jej i niewola,
Ruś, co w łachmanach przyszłość swoją śni!

W przysiadach wokół kolumny Trajana —
To — jak modlitwa, zaklinanie słów,
Od których zgoi się ojczyzna-rana
I w człowieczeństwa promieniach skąpana
Zabłyśnie wreszcie uzdrowiona Ruś!

Tu, przy osierdziu marmurowym martwych
Imperiów, które rozwiały się w proch,
Z nieśmiertelności nadmiaru tak tańczy
Geniusz, bóg — z biedy i szczęściem rozdarty
Nieszczęsny człowiek skoczny wiedzie pląs.

Jabłkowe wino

W przepaskach z płótna leśni ludzie stoją.
Wał korby skrzypi, prasa ciężko jęczy,
A płyn jabłkowy niby źdźbła powoju
Splata się w strużkę i w miednicy dźwięcznych
Głębinach dzwoni, potem po kropelce
Szemrze i spada, cicho zawiruje.
(Młodzieńca właśnie tak topnieje serce,
Kiedy dziewczęcych rąk nagle poczuje
Jedwabny dotyk.) Braga gra, bulgocze.
Wonią zduszonych owoców pijane
Oddechy. W beczkach entuzjazm szczebioce
I śpiewa cicho dźwięcznym głosem panien,
Tych cudzołożnych rusałek, co w kwiatach
Na wiosnę staną w dziczki się zmieniwszy
I przydymiony tłusty lasu zapach
Wydziela złoty płyn i zawiesisty.
Fermentacyjne w czopach stoją rurki
Jak lufy armat. Uszczelnia je smoła
I ducha trzyma. Pulsują kukułki
Kukaniem, kują niby dziób dzięcioła
I pohukują beczki pełne wina
Jak sowy nocą... A oto tymczasem
Już białoskrzydła śnieżycy kobyła
Uszami strzyże popod nagim lasem.
Już święta idą, z daleka śpiewając,
Gospodarz wino niby skrzypki grajek
Próbuje, struny dźwięczne potrącając
I czuje duszy niewidzialnej drganie.

Gwarzyć noc całą siadają za stołem
Astrologowie (Anty-fryz zaś w „Ładach!")
Leje się wino, by tego, kto młodość
Bujną odzyskał, nie pragnął los karać.
Blask bursztynowy w krąg puchary niecą
W dłoniach kanciastych i z garnca na koniec,
Z wiadra popiją; jak lampiony świecą
Poprzez serdaki serca rozpalone.
W ciemnościach rozum tracą całkiem brogi
I siano pachnie jak piersi mężatek,
Powoli rosną nabożnisiom rogi,
W krokach anielic słychać stukot ratek.
W cichym ustroniu, tam, gdzie stoi chata,
Gdzie po zamieci śnieg niby rtęć błyszczy,
Czarty całują rusałki, co w kwiatach
Staną na wiosnę, w dziczki się zmieniwszy.

Do szańca pszenicy

Pagórkami i dolinami,
Równinami najrówniejszymi,
Pustkowiami piołunowymi
I dłoniami najczarniejszymi,

Oceanami i morzami,
Poprzez sawanny spopielałe,
Przez pióropusze rakiet białe,
Poprzez asfalty poczerniałe,

Przez górskie drogi, skały niedostępne,
Sale konferencyjne i cele zamknięte,
Poprzez narciarza i ptaka christianie,
Przez serc pękniętych duszne niepokoje
I poprzez myśli pracowitych zwoje,
Wszędzie pszenicy biegnie szaniec.

Całą ziemię złocistą tasiemką
Obszywają źdźbła zbóż i złocą,
I nad moją duszą pękniętą
Jak najbielsza nadzieja migocą.

Jak wiadukty grzmiące idą szańce,
Jak więcierze świetliste idą;
W nich się splotły kłosiane palce
Mego ojca i matki w żniwa.

Pomóż, panie pszeniczny, ratuj,
Wszechobecny, bezmierny włodarzu,
Zgodę przynieś i pokój światu,
Co rytm zgubił na ostrym wirażu!

Nie pozwól, by serca oślepły,
Od straszliwego chroń nas losu,
Nie daj podłym pokonać szlachetnych,
Od niszczącego chroń glob ciosu,
W koszyczkach zroszonych kłosów
Nad przepaściami nas przenoś.

Jarosław Iwaszkiewicz

Jarosław umarł. Ziemia zadrżała mi pod stopami.
Zima niby gromnica dal rozjaśniła całą.
Umyli go, wytarli lnianymi ręcznikami,
W strój ubrali górniczy, złożyli do trumny ciało.

Tak zmarły sobie życzył. Pracować zszedł do sztolni.
Już tutaj na drugie swoje życie zapracowywał.
Jak metaforę śmierć stworzył,
i w buncie bluźnierczym, mozolnym
Nieopłakaną polską miłość swym ciemnym żalem
okrywał.

Jarosław umarł. Z bólu na ukraińskiej ziemi
Ojciec się wzdrygnął — osierocony, zrozpaczony proch.
Tato, on żyje!
Nie da się zgasić, zadeptać, zdusić i zniszczyć promieni
Tego światła,
Co życie i dobro niosąc podąża przez mrok.

Tego światła stulecia. Kosmiczną rzeką się toczy.
Jarosław umarł.
Był smutny, jakby kochał umierać. Wśród bolesnych
ogrodów
Słów jasne żywił, szlachetne uczucia i jak dawni
prorocy
Granice burzył i braterstwo szerzył wśród narodów.

Jaśniejszy świat się staje od jego złotej rozpaczy.
Dopóką świata, potąd on żywy pozostanie.
W ogień braterstwa rzucamy carskie i pańskie
traktaty,
Zło dawne i nienawiść palimy jak stare ubranie.

On stoi wśród nas. Olbrzymi. On zdążył ufedrować
To drugie życie, które trwa przez tysiąc lat.
Narody trzy po nim płaczą, a ludzkość będzie
świętować
Ten dzień, kiedy matka wydała go na świat.

z cyklu

WIERSZE Z PARYŻA

* * *

Zasnąłem mocno będąc prosto z drogi,
A chmury szły i z nimi zlatywałem
W ojczyste góry, na pachnące stogi,
Gdzie niegdyś w młodych objęciach sypiałem.

Nad ranem przebiegł po paryskich dachach
Deszcz i mnie zbudził. I czułem półsenny,
Jak gra mosiężnych parapetów blacha,
Jak bębnią krople po szybach okiennych.

Przez tę muzykę, przez smutne pluskanie
— Ty śpisz? — głos miły przebił się z lat starych,
Błysnął jak słońce na karpackim sianie
Zgubiony sen i opromienił Paryż.

Grób Napoleona

Katedra. Krypta. Oko wnika
W ziemię. Pod ziemią sława
Tego arcyawanturnika,
Świątynia wiecznego rozkładu.

Bryła marmuru czerwonego
Jakby zakrzepła krew tych armii,
Które na proch rozbiła jego
Chorągiew w marszu triumfalnym.

Ale koszt z każdą bitwą wzrasta,
Krwi zwycięskiej więcej wsiąka w ziemię,
I okrutna potęga obrasta
Hańbiącym, kalekim cierpieniem.

Za ścianą kloców stos leży.
Tam ceruje sztandary pająk,
Tam rąk dotąd klecą protezy
Ci, którzy rąk nie mają.

Zardzewiałych orderów grona
Pobrzękują tam jeszcze w mroku,
Tam żołnierzom Napoleona
Krzyże szykuje się dotąd.

Co podziwiać? Smutek mnie dopadł.
Prawda rakiet i szpad. Oto dowód.
Imperatora sarkofag
Odlany z krwi narodów.

W Dzielnicy Łacińskiej

Gdzieś pośród Dzielnicy Łacińskiej
Zamyślone oczy na ciebie
Patrzą i pod tym spojrzeniem
Lżej się zrobi na sercu, mniej już
Ciąży mu brud, mniej rani smutek.
Nad książkami złote warkocze
Płyną i niby promyk słońca
Głęboko przenikają w duszę;
Przystaniesz koło bukinisty
I podasz rękę Villonowi —
To przecież on wydania nowe
Rozkłada swoich Testamentów
Nie rozpoznany przez nikogo.
A ty na jego ujrzysz szyi
Ślad pętli, dusza twa zawyje...
Milcz! Zamiast zdradzić się okrzykiem
Zdziwienia, na swą własną grdykę
Popatrz, bo może również gości
Na niej ślad śmierci łotrzykowskich!
Nikomu nie mów, w wieku którym
I jak zerwałeś stryczka sznury!
Pośród Dzielnicy się zatrzymasz
Łacińskiej i przy książkach stojąc
Jak zmierzch jesienny tak wspominać
Będziesz Kajali i śmierć swoją.
Pomachasz Villonowi, złote
Warkocze muśniesz wzrokiem skrycie,
I że ci nie wstyd, wiesz już o tym,
Żadnej ze śmierci twego życia.

Muzeum figur woskowych

Tu — obraz Pana Boga, tutaj — pana Chama.
Oblicza z wosku, w oczodołach szkło.
Nie muzeum — ludzkości żywa panorama,
Ileż to manekinów przez te sale szło.

Ten z ministerstwa, ten z komisariatu,
Ten bankier, złodziej, ten rymów kochanek,
Idą, aby popatrzeć za małą opłatą
Na wielkich ludzi swoim wzrokiem szklanym.

Wchodzą, wychodzą. Tutejsi, zza morza.
Syci i dumni z karier swych i gier.
— Która z bezmózgich tych głów godna noża? —
Myśli woskowy Robespierre.

Na ulicy Marie Rose

Wśród kwartałów niepokaźnych i mrocznych
Student pomógł tę ulicę znaleźć.
„Lenin! Tutaj!"
W oczach lęku ognik.
Dwa słowa, a jak bracia już idziemy dalej
Poprzez zaułki aż do domu, w którym
Iljicz mieszkał...
Tam nagłe rozstanie.
Płomień strachu w młodych oczach wzburzył
Krew mą. Skąd ten pośpiech i zmieszanie?
Skonsternowany stoję sam pod ścianą,
A mój Wergili jak sen się rozpłynął.
I raptem zrozumiałem: krok w krok za mną
Szpicel podąża z pewną siebie miną.
Przystanął w bramie i chce złamać wzrokiem
Kręgosłup (cóż mi, nie takich znam asów!).
Lecz „brat" strachliwy — rusza spiesznym krokiem,
O książkach mówiąc i o braku czasu.
To ta ostrożność mądra i daleka,
Z której jest rasa mieszczańska słynna.
Są komuniści, więc i kartoteka
Powinna wszystko wiedzieć policyjna.
Trudno, idź sobie, nie dojdziesz do celu
Nigdy, ostrożność niosąc z sobą wszędzie,
Połową siebie będziesz za ideą,
Połową siebie przeciw niej iść będziesz.
Rozrośnie się ten garb straszliwy,
Którym nagrodzi cię dziś donosiciel.

Najszlachetniejsze twoje porywy
Zatrują ludzkie serca jadowicie,
Zegniesz się, los ci nie pozwoli
Wyprostować, nie licz na łaskawość,
Bo kto przeląkł się szpicla, ten powoli
Sam się zmieni w szpicla.
Takie prawo.

Strajk śmieciarek

Nic, nic nie rośnie tak jak śmieci
I nie zakwita nic tak szybko,
Olśniewająco nic nie świeci
Tak jak trujące kwiaty, z nich to

Słynie Paryż. Już trzy dni oto
Nie zamiatany. Nie na chodzie
Samojezdne śmieciarki. Kłopot.
Zastarzały konflikt nadchodzi.

W prasie zaklęcia i przestrogi.
A ulice całkiem przygniotło.
Biedne klejnoty pełne trwogi
Płaczliwie krzyczą: — Ratuj, Miotło!

Miotła, Pomiotło oraz Wiecheć
Odrzekły: — Nie! I wybuchł strajk.
I wybuchł zapach, smród się niesie.
W śmietnik zmieniło się Klondike.

Merostwo już i żandarmeria
Występują z brzegów i rwą.
A Wiecheć nad winkiem. Feeria.
Miotłę na strzępy porwać chcą.

— Hej, wy, diamenty i rubiny —
Odkrzyknie Miotła — nie podmieciem!
Niestraszne nam są karabiny.
Spalcie nas sobie, jeśli chcecie.

To wszystko. Koniec bajki na tem.
Zajrzyjcie tam, gdzie my mieszkamy.
I żyjcie bez nas — lub zapłatę
Podnoście tak, jak tu żądamy.

Wiecheć pijany był. Lecz stanął
Po stronie Miotły, o to szło.
I się śmieciarskie radowało.
Śmiecące, więc nie martwe, dno.

Prawie pod próg sięga śmietnisko,
Jak szańce tak odpadki rosły.
I było już zwycięstwo blisko
Po myśli Sprawiedliwej Miotły.

Ale Pomiotło
przyszło
podmiotło
przyjaciół
sprowadziło
szukało klejnotów
w śmieciach
a samo śmieciem było.

Prostytutki

Oto one, stoją pod ścianami
Niby kariatyd rząd.
Japonki z blond Szwedkami
I Francja z hańbą swą.

Jak w szoku idę i gniecie,
Pali mnie straszny wstyd.
Żadnego już ognia na świecie
Nie ma prócz tego, co w nich?

Żadna ziemi tej piędź się nie wzbrania,
Kiedy toczy ją zdrady rak?
Po cóż życiu zadawać pytania,
Gdy one stoją tu tak.

Smutne, wzgardzone, znieważane,
Podobne kwiatom zła,
Jak pożar tak wymalowane,
Jak popiół wystygłe do cna.

A ci, co zgniliznę kochają,
Co po stokroć sprzedali się sami,
Brudny banknot już w dłoni trzymając
Podjeżdżają cadillacami.

* * *

Zbudziła się królowa Anna*
I przy wąziutkim oknie stała.
W dali świeciła mgła poranna,
Różowa jak dziecięce ciało.

Jak stos ofiarny w leśnej grocie
Płonęło słońce przez dnia dymy.
Rycerza oczy albo kocie
Wśród drzew się nagle rozjarzyły.

Lecz jej niestraszno — ona pani.
To Francja — tron jej, jej pokoje,
Skrzynia nabita koronami,
Sług, zauszników całe roje.

Odpusty, polowania, tańce
I krok kamienny nocy ciężkich,
I drogie, te najukochańsze
Dni i godziny z książką w ręce.

To Francja, to jej państwo, wokół
Fortece jej i pułków siła...
Lecz skąd ta łza, co błyska w oku,
Spadła i wstążki przepaliła?

Czemu tęsknota serce gniecie
Jak gdyby czyjaś ręka niema?
Jest państwo, lecz ojczyzny przecież
I duszy — choć są troski — nie ma.

To nic! Był sen! I się ozwała
Dusza tak czysto i błękitnie,
I stała Anna, i się bała,
Że sen przeszumi, że sen zniknie.

Łagodna młodsza siostra. Za nią
Dobry i cichy ojciec przemknął.
I Kijów, złotowłosy anioł,
Co miał błękitne skrzydła Dniepru.

---

* Anna Jarosławna, córka Jarosława Mądrego, żona Henryka I, króla Francji od 1049 r. *(przyp. autora).*

SPIS RZECZY

Wstęp 7

z cyklu DZIECIŃSTWO

*** (*Przyszedł kupiec z czerwonymi oczami*) 21
*** (*Kiedy robi się ciemno, siadamy*) 23
*** (*W naszym ogrodzie rodzą się kamienie*) 25
*** (*Pod wierzbami, co rosną na błoniu*) 26
*** (*Czereśnia stoi jak matka u drogi*) 28
Muszę 30
*** (*Pośród uli na ziemi gołej*) 31
Manekiny 32
Cymbały 34
Serce 38
Jaskółki 40
*** (*Twoję oczy, zbrodniczo grzeszne*) 41
*** (*Przez czarny dym zniewagi i oszczerstwa*) 42
*** (*Moja najczystsza w grzechu chwale*) 43
Bociany 45
Cmentarz samochodów 46

z cyklu BIAŁE SONETY

Stareńki rym 49
Skrzydła 50
„Danae" Rembrandta 51
Miłość 52
Zrebię 53
Wierność 54
Niecierpliwość 55
Chleb 56
Most 57
Cud 58

Sedno 59
Zachłanność 60
Śmiech 61
Drzewa 62
Winnica 63
Roztanie 64
Sztandar 65
Oświęcim 66
Żal 67
Motyl 68
Łuk 69
Słowa 70
Trzęsienie ziemi 71
Wspomnienie 72
List 73
Zima 74
Wiosna 75
Lato 76
Zazdrość 77
Łzy i pot 78
Mech 79
Głos 80
Twórczość 81
Matka 82
Samoloty 83
Chmura 84
Ojczyzna 85
Pocałunek 86
Koń 87
Jeszcze o koniu 88
Spojrzenie w źródło 89
Robaczek świętojański 90
Kamień 91
Majowy deszcz 92
Czeremcha 93
Przeczucie 94
Spojrzenie 95
Tęsknota 96
Morze 97

SZLIFIERZ SŁÓW 101

z cyklu TAJEMNICA TWOJEJ TWARZY

*** (*Miłości moja — tyś jak Bóg*) 113
*** (*Był jak niemowlę dzień tak jasny*) 114
*** (*Gdzie wyglądałem cię, jak święta*) 115
*** (*Staniemy oboje na leśnej polanie*) 116
*** (*Zdejmij mi leciutką dłonią*) 117
*** (*Jak świeczka w polu brzoza*) 118
*** (*To nieprawda, że umrzeć mamy!*) 119
*** (*Uschłem, spłonąłem do końca*) 120
*** (*Najdłuższa z wszystkich dróg*) 121
*** (*Kiedy do ciebie przylecę*) 122
*** (*Zobaczyłem cię dzisiaj*) 123
*** (*Dzwoni gwiazdami niebo czyste*) 124
*** (*Śpisz i na twojej twarzy*) 125
*** (*Bywają takie rozmowy*) 127
*** (*Ty — jak deszcz. Ja — niczym jawor*) 128
*** (*Pod półsennymi powiekami*) 129
*** (*Poziomkami płonie polana*) 130
*** (*Rozgwieżdżona i smagła twoja dusza*) 131
*** (*Niby powietrze mroźne*) 132
*** (*Wszystkie izby jabłek dorodnych*) 133
*** (*Zjawił się w mej pamięci...*) 134
*** (*Majaczy z daleka jak śnieg*) 135
*** (*Gdzie twoje skrzydła, dziewczyno miła?*) 136
*** (*Do morza nocą wchodziłaś*) 137
*** (*Zrzuć z siebie ubranie*) 138
*** (*Biała nad wsią czereśnia*) 139
*** (*Dziewczęcych dziewiczych linii*) 140
*** (*Tak mi się śniłaś zawrotnie*) 141
*** (*Twe przeciwieństwo — piasek*) 142
*** (*Staliśmy pośród tłumu...*) 143
*** (*Kiedy wiersze mi nie pomogą*) 144
*** (*Będę na świecie*) 145
*** (*Tak, ma miłości, ty jedynie*) 146
*** (*W ulewie biegnie pod strugami*) 147
*** (*Pachniesz jak liście wiosenne*) 149
*** (*Morza tkała się tkanina*) 150
*** (*Dziewczynko moja miła*) 151
*** (*Jaka łagodna wydaje się chwila*) 152
*** (*Biegłem ścieżkami, a noc jasna była*) 153
*** (*Stęskniłem się za tobą, miła*) 154

*** (*Nie pamiętam, kto mnie orłem zrobił*) 155
*** (*Napadłem na ciebie nagle*) 157
*** (*Akacje. Pszczele dzwony*) 160
*** (*Powietrze nocne do rana*) 161
*** (*Za wiewiórką złocistą pędziłem*) 162
*** (*Dziewczyna w oknie stała*) 163
*** (*Staliśmy w ciemnej osłonie*) 164
*** (*W mgle cieniusieńkiej deszcz się srebrzy*) 165
*** (*Rozplotły się, rozsypały, rozpadły*) 166
*** (*Przytulę się do ciebie*) 167
*** (*Ożywasz we mnie*) 169
*** (*Wiatr twojego spojrzenia*) 170
*** (*Przylatywałem do ciebie*) 171
*** (*Winien być zawsze wśród nas*) 172
*** (*Tego nie widać z najwyższej wieży*) 173
*** (*Ścierń niby śnieg bielała*) 174
*** (*Twoich dłoni stateczek świetlisty*) 175
*** (*Pachnie chlebem trawa*) 176
*** (*Kiedy się zacznę spowiadać*) 177
*** (*Nasza miłość*) 178
*** (*Ja — ziarenko, ty — gwiazda...*) 179
*** (*Noc, oświetlona kwiatem jabłoni*) 180
*** (*Nad naszym światem i pod naszym światem*) . . . 181
*** (*W środku nocy deszcz przyszedł*) 182
*** (*O zasnąć, zasnąć na chwileczkę bodaj*) 183
*** (*Gdyby tak do mnie mogła przyjść...*) 184

z tomu SPIRALA

Świerki 189
Babcia z kwiatami 191
Linijka wiersza 192
*** (*Pragnący tylko przepychu i sławy*) 193
*** (*Nie pamiętam kiedy żyłem*) 195
Gogol tańczy w Rzymie 196
Jabłkowe wino 198
Do szańca pszenicy 200
Jarosław Iwaszkiewicz 202

z cyklu WIERSZE Z PARYŻA

*** (*Zasnąłem mocno będąc prosto z drogi*) 207

Grób Napoleona 208
W Dzielnicy Łacińskiej 209
Muzeum Figur Woskowych 210
Na ulicy Marie Rose 211
Strajk śmieciarek 213
Prostytutki 215
*** (*Zbudziła się królowa Anna*) 216

WYDAWNICTWO LUBELSKIE • LUBLIN 1989

Wydanie I. Nakład 700 + 300 egz. Ark. wyd. 5,6. Ark. druk. 14. Papier druk. sat. kl. III, 70 g, 82×104 cm. Oddano do składania 25 kwietnia 1988 r. Podpisano do druku w styczniu 1989 r., druk ukończono w lutym 1989 r.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne, Lublin ul. Unicka 4. Zam. nr 1994, A-7.

2 r 19

Cena zł 450.—

Dmytro Pawłyczko, jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów ukraińskich, urodził się 28 IX 1929 roku w Stopczatowie. Wydał m.in.: *Lubow i nenawyst', Moja zemla, Żest Nerona, Hranosłow, Tajemnycia twoho obłyczczia, Spiral.*

„Nie jest poetą jednego genre'u — znaleźć u niego można i wiersze publicystyczne, i takie, które są poetyckimi traktatami filozoficznymi; bywa, że jedno z drugim się łączy. Czasem sięga ta poezja rejonów metafizyki [...] Podobnie dużą różnorodnością odznaczają się formy wiersza, których używa — od klasycznego sonetu (sonet jest mu, jak się zdaje, szczególnie bliski) po wiersz wolny. „Prawda życia jest istotą poezji" — formuła ta na tyle pojemna, by zmieściły się w niej i apele o pokój, i wiersze poruszające kwestie społeczne, i żarty liryczne, i poetyckie reportaże z podróży" — pisze autor wstępu.

W niniejszym wyborze dominuje jednak liryka miłosna, której prostota i subtelność trafić mogą zarówno do czytelnika o wyrafinowanych, jak i bardziej tradycyjnych upodobaniach.

32/44